

Afrodyta w Klocji — Niczyja

Od autora: Nie każda fascynacja, jest jednocześnie akceptacją...

To tak na marginesie, gdyby miały pojawić się różne, dziwne, upolitycznione komentarze.

Upprzedzam - tekst jest bardzo długi.

„Afrodyta w Klocji”

Zanim przejdę do samego reportażu, kilka kwestii wymaga wyjaśnienia. Moje imię jest pochodzenia macedońskiego, skąd pochodził tata. Potem wyemigrował do Polski, gdzie poznał moją mamę i oto jestem. Może nie tak piękna i zwiewna jak mityczna Afrodyta, ale imię na pewno nosi przypisane mu znamiona wyjątkowości.

O Rosji, dziekuj i niezwyklej marzyłam od lat. Podróż tam, była zawsze na liście: „*To do list*”. Zawsze też odkładałam wyjazd do mojej wymarzonej krainy, zawsze znajdowało się coś innego, pilniejszego, bardziej realnego. A Rosja była nieziszczalnym marzeniem. Aż w końcu, któreś nocy pod wpływem silnych emocjonalnie wydarzeń zdecydowałam się na wycieczkę z biurem podróży. Sama nigdy bym się nie odważyła tam lecieć, w mojej głowie kłopot z załatwieniem wizy urósł do rangi rzeczy niemożliwych. Antygona, moja młodsza siostra, nie dzieliła ze mną entuzjazmu i zachwytu nad Rosją, od początku wiedziałam zatem, że pojedę sama.

Na szczęście wszystkie formalności udało mi się załatwić na czas. Byłam ostatnia na liście wycieczkowiczów, z tej okazji dostałam specjalny rabat. Poprawnie wypełniłam i złożyłam wniosek wizowy ze zdjęciem. Na koniec zapłaciłam za wycieczkę i pozostało mi tylko czekać. Trzy długie tygodnie. Był to czas na czytanie, czytanie i jeszcze raz czytanie jak największej ilości informacji o olbrzymim kraju, jakim jest Rosja. Kompletowanie ekwipażu na tygodniową wyprawę, kupno waluty i innych niezbędnych rzeczy.

W międzyczasie dowiadywałam się, czy mój wniosek wizowy jest poprawnie wypełniony. Był. Czekałam na informację o godzinach lotów. Niepokoiło mnie, że miałam dostać ją dopiero na jeden – dwa dni przed planowanych wylotem, ale jak się później okazało takie są procedury w biurach podróży.

Termin mojej wycieczki był pierwszy w sezonie, 16-22 kwietnia, ale jeszcze przed białymi nocami. Rozpoczynają się one z końcem maja, a trwają do połowy lipca, a nie jak wszyscy mylnie myślą, do końca czerwca.

Po krótkim wstępie, mogę już zacząć pisemną relację z podróży moich marzeń.

15 kwietnia 2018, niedziela

Pakowałam się kilka godzin, mozolnie i z roztrzepaniem. Wieczorem byłam gotowa, ale nie mogłam zasnąć. Zawsze tak mam przed stresującym mnie wydarzeniem, przed czymś ważnym. Nastawiłam budzik

na siódmą rano i leżąc bezsenne w mrocznym pokoju, przewracałam się z boku, na bok. Sumarycznie spałam może dwie godziny.

16 kwietnia 2018, poniedziałek

W poniedziałki rano zawsze w stolicy są korki, dlatego przezornie zamówiłam taksówkę wcześniej. Dobrze zrobiłam, choć przyszło mi czekać na lotnisku dłużej niż wymagane dwie godziny. W wyznaczonym przez biuro podróży punkcie odebrałam paszport z pięknie umieszczoną wizą rosyjską. Dopiero wtedy naprawdę poczułam, że polecę do Rosji. Zaczęłam się cieszyć. Przelot miał być liniami LOT, o czym dowiedziałam się dwa dni wcześniej, dlatego przewodnik nie leciał z nami. Wszyscy uczestnicy wycieczki, choć jeszcze incognito, nie znając się wzajemnie, lecieli tym samym samolotem, a przewodnika mieliśmy spotkać dopiero na lotnisku Szeremietiewo w Moskwie.

Z ciężkim plecakiem powędrowałam w kierunku stanowiska odprawy bagażu. Wybrałam sobie miejsce przy oknie, była taka możliwość. Następnie przeszłam przez szczegółową kontrolę bagażu podręcznego, torby i plecaka oraz mnie samej. I byłam wolna, lekka i szczęśliwa. Oczekiwanie i emocje rosły, ostatnie smsy i rozmowy telefoniczne z bliskimi. Z mamą, z Antygoną, która za nic nie mogła zrozumieć, co takiego ciągnęło mnie do Rosji. Ona wołała Grecję i inne kraje upalnych lat i wiosen.

Powoli kierowałam się do przypisanego wyjścia numerycznego, przedtem jednak przeszłam kontrolę paszportową. Do Rosji, i pewnie nie tylko tam, jest wymagana. Jeszcze ostatnie muśnięcia dotykowego ekranu telefonu, wizyta w toalecie i już byłam gotowa wchodzić na pokład samolotu. Czas nadszedł, uformowała się długa kolejka niecierpliwych pasażerów. Samolot miał być pełen, jak zapowiedziała obsługa lotniska. Pełen marzycieli o Rosji, których wkrótce miałam poznać oraz zwykłych pasażerów podróżujących na trasie Warszawa – Moskwa w celach biznesowych, rodzinnych lub turystycznych.

W samolocie, gdy tylko usiadłam, od razu zasnąłam. Lot miał trwać prawie dwie godziny, różnica czasu w tej części Rosji również dwie godziny, według przewodników. Spało się wyśmienicie, z małą zaburzającą sen przerwą na napój i słodkości. Pilot w pewnym momencie oznajmił, że lecimy na wysokości jedenastu tysięcy metrów, z prędkością ośmiuset pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Liczby mówiły same za siebie, robiły wrażenie. Patrząc przez okienko widziałam ocean chmur, tworzący białą pierzynkę. Powyżej niebo było tak błękitne, jak nigdzie indziej być nie może, a słońce raziło w oczy swoim blaskiem.

Potem zdrzemnąłam się znowu, marząc o mojej Klocji. Czemu Klocja? Bo słynne cerkwie, sobory i pałace do złudzenia przypominały mi budowle z dziecięcych lat, z rosyjskich bajek i książek. Układałam je właśnie z kłoców.

Samolot zniżał lot. Pilot przygotowywał się do lądowania. Na jeziorach jeszcze tkwił lód, który topniał przy brzegach. Przy skrajach lasów leżały grube połacie śniegu, resztki zimy. I stało się. Wreszcie wylądowaliśmy. Byłam w Rosji!

Po wyjściu z samolotu pasażerowie poszli tłumnie po odbiór bagażu. Po drodze była odprawa paszportowa. Straż graniczna dokładnie sprawdziła dane w systemie, porównała twarz ze zdjęciem i wydała kartę

meldunkową, na której trzeba było złożyć autograf. Karta była niezmiernie ważna, jak się później dowiedziałam, i absolutnie nie można było jej zgubić. Bez niej wylot z Rosji byłby niemożliwy, a uzyskanie nowej byłoby kłopotliwe.

Następnie odebrałam bagaż, poznając przy okazji niektórych uczestników wycieczki, z którymi udałam się na przypuszczalne miejsce spotkania z lokalnym przewodnikiem. Była nim Olga, młoda, niziutka dziewczyna. Czekaliśmy przy sklepie, aż zbierze się cała grupa. Olga odhaczała nazwiska dochodzących osób. Trochę czasu to trwało. Gdy wszyscy byli już obecni podążyliśmy, taszcząc ciężkie walizy i ja jedyna plecak, w kierunku czekającego autokaru. Nie mógł tam stać długo, więc spieszyliśmy się. Kierowca pomógł zapakować bagaże do schowka, a my wsiedliśmy do autokaru, zajmując przypadkowe miejsca. Jak się później okazało miejsca przydzielone zostały według kolejności zgłoszeń, a pierwsze trzy były dodatkowo płatne. Wiedziałam, że mi przypadnie miejsce na samiułku końcu autokaru, ale miało to też swoje zalety.

Grupa liczyła trzydzieści dwie osoby. Średnia wieku oscylowała między pięćdziesiąt, a sześćdziesiąt lat, znacznie więc ją zaniżałam, wraz z kilkorgiem młodych ludzi. Były głównie pary, ale singli też było nie mało. Autokar wkrótce wyruszył w kierunku hotelu, w którym mieliśmy zamieszkać, a Olga zaczęła wyłuszczać sprawy organizacyjne. Opowiadać o Rosji i na pytania zadawane przez uczestników wycieczki.

Nasz trzygwiazdkowy hotel GAMMA położony był w dzielnicy Izmańłowo. Były to tak zwane zielone płuca Moskwy otoczone rozległym parkiem. Takich miejsc w Moskwie było kilka m.in. Wyspa Łosia, która notabene wyspą nie była tylko rozległym podmokłym terenem, wbijającym się klinem w miasto. Przecinała go szeroka autostrada, pod którą poprowadzono przejścia dla zwierzyny leśnej. By mogła normalnie żyć i funkcjonować.

Hotel był ogromny, siedemnastopiętrowy. Takich hoteli w Izmańłowie było kilka i razem mogły pomieścić ponad dziesięć tysięcy gości. Otaczała go dobra infrastruktura sklepowo – gastronomiczna.

Spotkaliśmy się w recepcji. Olga zebrała wszystkie paszporty i zajęła się naszym zakwaterowaniem, a my poznawaniem siebie nawzajem. Było wesoło, radośnie, choć zdarzyły się słowa malkontentów. Jak zawsze. W raję też czasem bywa źle, przynajmniej niektórym.

Wszyscy zostaliśmy zakwaterowani na tym samym piętrze – piętnastym. Dostałam pokój tylko dla siebie, bez żadnej dodatkowej opłaty. Czasem więc bycie ostatnim na liście zgłoszeń, ma swoje dodatkowe zalety. Pokój był komfortowy, urządzone na bogato. Na łóżku mogłyby zmieścić się trzy osoby. Łazienka z całą masą ręczników i kosmetyków jednorazowych dla turystów, z logo hotelu. Była też lodówka i sejf.

Przed kolacją, którą można było wykupić fakultatywnie zebraliśmy się w holu na dole. Olga zebrała od nas pieniądze na wydatki miejscowe, w tym opłaty przewodników, bilety wstępu i inne. Wręczyła każdemu nadajnik ze słuchawką i od tej pory był czas wolny, aż do dziewiątej rano nazajutrz.

Ci z uczestników, którzy wykupili obiadokolację udali się do hotelowej restauracji, w tym ja. Sala była ogromna, liczne stoliki czysto zastłano kremowymi obrusami. Bufet szwedzki oferował szeroką gamę dań ciepłych i zimnych. Trzy rodzaje zup, w tym typowo rosyjska soljanka, czyli zupa rybna. Dań na ciepło było osiem. Sałatki i surówki, różne rodzaje pieczywa. Warzywa i wędliny, nabiał i oczywiście śledzie, które trudno skategoryzować. Patery z owocami cytrusowymi. Soki. Expressy do kawy i herbaty. Oraz wielki stół zastawiony różnorodnymi ichniejszymi słodkościami.

Jadłam, nie spiesząc się, miałam czas. Gdy skończyłam jedno danie, szłam po drugie, w międzyczasie kelnerzy uwijający się między stolikami zbierali brudne naczynia na wózki. Był ruch, zapachy i czystość. Ciekawa była obserwacja gości z całego świata. Wśród nich dużo Chińczyków. Kolację zakończyła herbata, oczywiście czarna z cytryną. Byłam gotowa, mogłam już wyruszyć na miasto nocą.

Olga udzieliła dokładnych informacji jak dotrzeć do centrum Moskwy. Wszystkiego uważnie słuchałam, a teraz miałam okazję przetestować wiedzę w praktyce. Z hotelu wyruszyłam o dwudziestej. Sama. Lubię samotnie zwiedzać świat, wtedy więcej się widzi. Można skupić się na doznaniach i emocjach.

Niedaleko hotelu jest stacja metra Partyzancka. Tam się udałam. Bilet na metro kosztuje 55 RUB. Można nim jeździć na wszystkich liniach, przesiadając się, by podziwiać zabytkowe stacje. Dopiero wyjście na powierzchnię unieważnia bilet. Kupiłam dwa bilety, na dwie pojezdki. Tam i z powrotem (razem 110 RUB).

Obejrzałam polecane przez Olę stacje metra. Szczególnie piękna była Majakowską. Podróżowanie metrem zajęło mi ponad godzinę. Było warto. Niektóre stacje są przepiękne, mają tak zabytkowe wnętrza, jak muzea i pałace. Budowano je z rozmachem i przepychem.

Na powierzchnię wyszłam w okolicach Teatru Bolszoi (stacja Płaszczad Rewolucji). Spacerowałam po jasno oświetlonym mieście, mijając rzeszę turystów i miejscowych młodych. W okolicach Kremla przyciągnęła mnie muzyka. Był to pub, z muzyką z lat osiemdziesiątych. Kusił. Zamówiłam piwo i obserwowałam życie nocne. Nieopodal był Plac Czerwony, dotarłam tam oświetloną aleją, z istic bożonarodzeniowymi łańcuchami. W Rosji wszystko jest możliwe, a przez to urocze i piękne w swej odmienności.

Plac Czerwony to rozległy prostokąt, otoczony murami Kremla, słynnego sklepu towarowego GUM, Muzeum Historycznego oraz soboru Wasyla Błogosławionego. Ten ostatni najpiękniejszy, z kolorowymi kopułami i bajkowymi kształtami był uosobieniem mojej Klocji. Ku niemu podświadomie dążyłam spacerując wśród tłumów turystów po jasno oświetlonym Placu Czerwonym. Bajkowy sobór – rozświetlona cudowność na tle ciemnego nieba.

Po długim pobycie na mieście powoli zaczęłam wracać. Oswoiłam się z metrem i ludźmi. Polubiłam Rosję jako swojską już tej pierwszej nocy. Do hotelu dotarłam przed północą. To był długi, pełen wszelakich wrażeń dzień. Początek wszystkiego, co miało się wydarzyć później.

17 kwietnia 2018, wtorek

Czy cały wyjazd będzie pod znakiem kataru?

Pojawił się pierwszego dnia na lotnisku w Warszawie i z każdą godziną nasilał coraz bardziej. Oprócz typowego kataru było jeszcze niezwykle silne łzawienie z obojga oczu i kichanie. Całymi seriami. Byłam już zmęczona nocą, a dzień zapowiadał się podobnie. Masakra, oczy łzawiły, nos szczypał, potwornie bolała głowa. Od rana nosiłam ciemne okulary, żeby zamaskować czerwone oczy i łzy. Nie było mowy o malowaniu rzęs. Dobrze, że pogoda akurat była odpowiednia. Było ciepło i słonecznie, strój w sam raz na krótki rękawek i okulary słoneczne.

Śniadanie było jeszcze bardziej tłumne niż kolacja. Szwedzki stół z szeroką gamą różnorodnych dań, od zup mlecznych po inne. Dania ciepłe i zimne. Mnogość kolorów i zapachów. Nie byłam głodna po krótkiej nocy, więc coś tylko skubnęłam.

Tuż po śniadaniu wyjechaliśmy autokarem w kierunku centrum Moskwy. Korek był straszny. Towarzyszył nam nowy przewodnik z Moskwy – Ludmiła. Opowiadała bardzo ciekawie i ładnie po polsku. Wkrótce zasnęłam, po zbyt krótkiej nocy.

Zwiedzanie zaczęliśmy od Kremla, gdzie spędziliśmy ponad dwie godziny. Chodziliśmy z krótkofalówkami, z których doskonale było słycać naszą przewodniczkę. Idealna sprawa na liczebne wycieczki. W skarbcu zgromadzono rozliczne zbiory bezcennych eksponatów, niektóre z nich liczyły sobie kilkaset lat. Czas nas naglił, była to pogoń za czasem, po obejrzeniu tylko wybranych pozycji pozostało wrażenie przepychu i nieskończonego bogactwa. Kamienie szlachetne, złoto. Piękne formy, niespotykane nigdzie indziej rękodzieło, misternie haftowane suknie i płaszcze. Karoce, kolaski, suknie z różnych wieków. Korony i trony carów i caryc. Ludmiła pokazując wybrane eksponaty, opowiadała o nich arcyciekawe historie. Jedna z caryc np. miała piętnaście tysięcy sukien i jeszcze więcej par butów, a przecież na pewno nie były to tanie rzeczy. Jak wielką trzeba było mieć garderobę, aby to wszystko pomieścić. Takie i inne pytania pojawiały się w mojej głowie.

Następnie przeszliśmy na plac z soborami. Po drodze strażnik zaczepił naszą przewodniczkę i przeliczył nas, uczestników, jak owce na pastwisku. Czy wszystko się zgadzało pod względem liczebności? Zabawnie w środku, serjozno na zewnątrz. Musiałam hamować ogarniający mnie śmiech. Tak było. Idąc na plac soborowy widzieliśmy rzekę Moskwę, płynącą wzdłuż murów Kremla. Plac soborowy, jak sama nazwa wskazuje, pełen był soborów. Zajrzeliśmy do wnętrza dwóch z nich (m.in. Sobór Archangielski). W jednym odbywały się uroczystości ślubne, wstęp więc był niemożliwy. Na bogato ubrany pop (czerwona sukmana ozdobiona złotymi kolorami) szybko przeszedł plac i wstąpił do zakazanego soboru.

Z placu z soborami przeszliśmy zobaczyć osobliwych „carów”: Działo i Dzwon, z których żaden nigdy nie był użyty. Działo prezentowało się błyszcząco i nienaruszenie, zaś Dzwon miał uszczerbek na urodzie, który moim zdaniem tylko dodawał mu uroku. Niektórzy uczestnicy wycieczki urzeczeni jego urodą nieświadomie zeszli z chodnika i wylegli na ulicę. Wnet pojawił się strażnik i srogim głosem upomniał naszą przewodniczkę Ludmiłę, żeby pilnowała nas lepiej. Jest zakaz chodzenia ulicami na terenie Kremla, do tego służą chodniki. I miał rację, bo akurat przejeżdżał samochód. I mógł zdarzyć się niechciany wypadek.

Z Kremla przez Plac Maneżowy oraz Park Aleksandrowski z Grobem Nieznanego Żołnierza przeszliśmy na słynny Plac Czerwony z mauzoleum Lenina i świątynią Wasyla Błogosławionego, które widziałam ostatniego wieczora. Po stadnym zwiedzeniu placu grupa popędziła do słynnego domu towarowego GUM, sąsiadującego bezpośrednio z Placem Czerwonym. Ustaliliśmy miejsce spotkania przy fontannie, jedynej w GUM, i zaczął się czas wolny. Ja poprzez utrapienie jakie serwowały mi łzawiące oczy i katar z kichaniem włącznie, nie byłam obrazem szczęścia. Wręcz przeciwnie. Chodziłam zapłakana, ale nie smutna. Przez chwilę odpoczęłam przy kawie, patrząc na fontannę. Sam budynek w środku był ładny, ale toalet nie było w lokalach. Trzeba było szukać ich długo, jakby umyślnie ktoś je poukrywał wśród sztucznych drzew pokrytych białym i różowym kwieciem. Potem zdecydowałam się wrócić na Plac Czerwony i zobaczyć bajkowy sobór. Ku mojemu zaskoczeniu plac zamknięto dla ruchu pieszego z powodu parady wojskowej i musiałam iść na około. Wokół placu skupili się gapie, patrząc jak jedno stare auto z czterema

rosyjskimi oficerami toczy się wolno dookoła placu. Były bębny i ktoś głośno odliczał w nieskończoność rosnące liczby... Nie wiem jak długo trwać miała ta nieskończoność, bo udałam się do soboru. Zagłębiłam w chłodne i wilgotne wnętrza starej świątyni. Gdyby nie prawie nieustanne kichanie, zrobiłaby na mnie większe wrażenie, a tak musiałam skupić się na szukaniu chusteczek i ocieraniu łzawiących oczu.

Czas wolny dobiegał końca, pożegnałam się z tą częścią Klocji i ruszyłam w kierunku GUM. Parada jednego auta nadal trwała. Ludzie patrzyli, samochody i taksówki przystawały poza barierkami. Dziwna jest ta Rosja, trzeba przyznać. W GUM zdążyłam przekąsić bliny z mięsem i kisiel z dyni. Pychotka. Jeszcze toaleta na szybko i już musiałam pędzić na spotkanie z grupą. Razem poszliśmy w kierunku autokaru, niebo spochmurniało, a mi coraz mniej podobała się myśl, aby wracać już do hotelu. Szybko podjęłam decyzję o pozostaniu w centrum Moskwy. Wypytałam Olgę o szczegóły powrotu i interesujące miejsca w okolicy, i już „witałam (żegnałam) się z gąską...”, jak pisał Mickiewicz w wierszu „*Lis i kozioł*”. Zrobiło mi się tak lekko, uwielbiam wolność i swobodę.

Zagłębiłam się w podziemia metra i podjechałam jedną stację, z Placu Rewolucji do Arbackiej, obie bardzo ładne, choć każda inna. Moim celem był spacer słynnym Starym Arbatem i poszukiwania prezentów dla bliskich i bliższych sercu osób. Przy wyjściu z metra, na ławce spał bezdomny. Miał plecak pod głową, na chodniku obok leżała goła, plastikowa lalka. Ktoś zrobił mu głupi żart? Czy to był jedyny przyjaciel jego nocnych spacerów? Nie wiem, w każdym razie ludzie przystawali obok, robiąc mu zdjęcia. Kilka kroków dalej grał uliczny zespół. Dziewczyna, wokalista o mocnym, choć pięknym głosie, i towarzyszący jej czterej młodzieńcy. Chwilęostałam wczuwając się w rosyjskie klimaty. Lubię spon-taniczność i naturę, taki swobodny sposób poznawania świata i ludzi.

Gdy doszłam na Stary Arbat zaczął kropić deszczyk. Schowałam się w najbliższym sklepie z pamiątkami. Chińska obsługa obiegła mnie, pomagając szukać matrioszki dla wymagającej siostry Antygony. Otóż złożyła ona u mnie specjalne zamówienie na rosyjską lalkę, która byłaby niebieska z żółtą twarzą, w zielonej chustce na głowie i z takim samym zielonym spodem. Drobne Azjatki zaczęły się dwoić i troić, aby znaleźć wymarzony prezent dla Antygony. W sklepie spędziłam pół godziny, wybierając i składając laleczki oraz ćwicząc dawno nie używany język rosyjski. Postanowiłam tutaj w Rosji rozmawiać jak naj-więcej w tym języku. Najlepiej uczyć się i przypominać sobie język w praktyce.

Zmęczona, podobnie jak personel ze sklepu, wyszłam z niczym, by dalej szukać matrioszki i innych pre-zentów. Stary Arbat spochmurniał, wyludnił się. Wszyscy spodziewani przeze mnie grajkowie i wszelkie atrakcje pochowały się po kawiarnianych zaułkach albo pobliskich domach. Zachodziłam do sklepów z pamiątkami, szukając dawnej atmosfery słynnej ulicy. Niestety gdzieś znikła, ulotniła się.

W jednym z wielu kolejnych sklepów, które odwiedziłam, w końcu kupiłam matrioszkę. Klasyczną, w tradycyjnych czerwono – biało – zielonych kolorach. Cóż, Antygona musi przyjąć taki dar, innego nie będzie. Zresztą klasyka jest zawsze najlepsza, w każdym wydaniu. Zadowolona przestąpiłam próg antykwariatu. Spytałam po rosyjsku o poezję Puszkina. Sprzedawca od razu, po jednym zdaniu, spytał mnie, czy jestem z Polski. Przytaknęłam zdziwiona, że tak i zapytałam skąd wiedział. Wyszło na to, że sam pochodził z Polski, z Legnicy, którą opuścił po wojnie jako sześciolatek, ale język polski rozpozna zawsze, na całym świecie. Usiadłam, a przede mną rósł stosik dzieł Puszkina. Nie mogłam się zdecydować, co by-łoby najlepszym prezentem dla bliskiego przyjaciela. Nie znał on co prawda języka rosyjskiego, ale za-kładałam, że jako poetę, nic bardziej nie ucieszyłoby go, niż taki właśnie prezent. Ucieszony antykwariusz przyniósł mi właśnie to, czego szukałam. Unikalne i piękne wydanie „*Eugeniusza Oniegina*” Aleksandra Puszkina. To był strzał w dziesiątkę. Uszczęśliwiona miłą rozmową i bezcennym nabytkiem,

wysłałam na Stary Arbat.

W sklepie nieopodal kupiłam jeszcze dwie, maleńkie, drewniane łyżeczki. W jednym zapłaciłam 200 RUB, w drugim ze zniżką (skibka – bardzo przydatne słowo) tylko 110 RUB. Znajdą one na pewno chętnych odbiorców.

Wstąpiłam na pocztę, chcąc wysłać kartkę. Znaczek do Polski kosztował 45 RUB i gdybym miała przy sobie pocztówkę, na pewno bym ją wysłała. Tak spontanicznie, do mamy lub Antygony. Ucieszyłyby się, jednak kartki nie miałam i skończyło się na potencjalnej tylko radości z jej otrzymania przez bliskich.

Warto wspomnieć o pomniku Puszkina i Natalii Gonczarowej – jego muzy i ukochanej żony. Pomnik i muzeum nieopodal to cel pielgrzymek turystów w Moskwie. Stali tak objęci, uśmiechnięci, zastygli w kamieniu, otoczeni zmieniającym się krajobrazem różnokolorowych turystów. W tym mnie przez chwilę.

Dalej był Hard Rock Café – kultowe miejsce, bar metalowców i nie tylko. Nie rzucało się w oczy, nie robiło wrażenia, nie było wyeksponowane tak jak w Polsce. Tutaj w Rosji wszystko jest inaczej.

Byłam już bardzo zmęczona spacerem, poszukiwaniami, sennością i ulicą. Stary Arbat trochę mnie rozczarował. Spodziewałam się czegoś innego, klasyki, nie komercji i współczesności. Niestety, czasów minionych nie da się przywrócić. Teraźniejszość i przyszłość to postępujące i nieuleczalne choroby.

Nogi dosłownie uginały się pode mną, dokuczwała senność, bolała głowa. Myślę, że w ogólnym zmęczeniu dziwna i nagła choroba miała swój znaczący udział. Szukałam stacji metra przy Arbacie, hotelowa mapa z nazwami stacji wskazywała na Smoljenskają. Zajrzałam jeszcze do pobliskiego supermarketu, szukając czegoś do picia. I kawioru! Nie żebym chciała od razu go kupić, tylko rozeznąć się cenach. Zapytałam o kawior czerwony (min 616 RUB za spory słoiczek, max... lepiej nie wiedzieć).

W sklepie kupiłam duży sok i udałam się na poszukiwanie stacji metra. Jak zwykle do niego było ściśle zakryte, zatajone, nawet ze wskazówkami udzielonymi przez zatrzymanych przeze mnie przechodniów. Nigdzie nie było oznaczenia, że to metro, tylko nazwa stacji - Smoljenskaja, a przecież nie każdy zna wszystkie nazwy stacji metra w Moskwie. Jest ich prawie dwieście i wciąż przybywa. Wsiadłam i od razu usiadłam, na szczęście w tłumie stojących wypatrzyłam wolne miejsce. Pociąg jechał powoli, często się zatrzymując. Twarda ławka wydawała się spełnieniem obecnego statusu moich marzeń i taką była. Odpoczywałam, piłam sok i oglądałam zakupione na Arbacie prezenty.

Do hotelu GAMMA dotarłam przed dwudziestą, akurat wtedy nasza grupa wybierała się na wieczorne zwiedzanie Placu Czerwonego. Zamieniliśmy kilka słów. Ja tę atrakcję miałam już za sobą i dobrze. Cieszyłam się na zasłużony, długi odpoczynek we własnym pokoju. W naszej dzielnicy Izmańskie jest ku temu dobre powietrze. Zostawiłam rzeczy w pokoju na piętnastym piętrze i zjechałam bezszelestną windą na kolację. Chyba byłam bardziej zmęczona, niż głodna. Więcej piłam, niż jadłam.

W pokoju odpoczynek i krótka drzemka, potem prysznic. Katar, kichanie, łzawienie i znów katar... Okropność! Kiedy to się skończy? Czy cały wyjazd do Rosji upłynie pod gwiazdą kataru?

Z ciekawostek zasłyszanych i zobaczonych dzisiaj było to, że:

Rosja ma swoje własne święto miłości. Dniem Zakochanych jest ósmy lipca. Symbolem miłości są rumianki, bo ma nieparzystą liczbę płatków. Takie informacje przekazała nam Ludmiła.

Częstym widokiem na peronach rosyjskiego metra był spacerujący patrol milicjantów, zazwyczaj czterech, często z psem. Ubrani byli w granatowe mundury, z charakterystyczną, usztywnioną czapką na głowie i białą pałką u boku. Maszerowali dostojnie, statecznym krokiem, wzbudzając respekt u Moskwan i turystów.

18 kwietnia 2018, środa

W nocy była burza, a potem długo padał deszcz i zmieniła się pogoda. Nastął chłodny poranek. Po śniadaniu wyruszyliśmy autokarem do Siergiejew Posad, oddalonego o siedemdziesiąt kilometrów od Moskwy. To najważniejszy ośrodek religijny w Rosji, a zarazem jedna (jedna z ośmiu) z najbardziej znanych miejscowości tzw. Złotego Pierścienia, do którego zalicza się również Moskwa.

Jechaliśmy półtorej godziny, już w czasie drogi zaczął padać deszcz. Nasz moskiewski przewodnik – Ludmiła, przytaczała interesujące fakty o Moskwie i całej Rosji. Obecnie istnieją tylko dwie ławry (słowo pochodzenia greckiego) w Rosji, jedna w Siergiejew Posad, drugą jest klasztor w Petersburgu, który później odwiedzimy. ZSRR (Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich) obejmowało swoim terytorium cztery ławry, ale teraz, po rozpadzie związku radzieckiego, dwie z nich są na terenie Ukrainy.

Ludmiła posiadała rozległą wiedzę i chętnie się z nami nią dzieliła. Ponadto pięknie mówiła po polsku, prawie bez zaciągania. Miała klasę w zachowaniu i sposobie wypowiedzi. Studiowała filologię polską na Uniwersytecie w Petersburgu.

Siergiejew Posad powitało nas ulewnym deszczem i chłodem. Gdziekolwiek można było dostrzec spore płaty zleżającego śniegu. Na miejscu zwiedziliśmy klasztor z soborami świętej Trójcy i Zaśnięcia Maryi Panny, w którym pochowano cara Borysa Godunowa z rodziną. Po dziedzińcu prawie przebiegaliśmy, chroniąc się we wnętrzach świątyń przed deszczem.

W soborach nie było okien i panował półmrok, rozświetlony mnóstwem zapalonych świec. To ich zapach tak mi się spodobał, panował w całym wnętrzu i przyjemnie nęcił nozdrza. Dowiedziałam się, że ten przepiękny zapach, to ladan. Ludzie przychodzą i zapalają zakupione wcześniej świece. Są długie, czerwone lub żółte, i bardzo wąskie. Zapala się je w intencji za czyjeś zdrowie, a w miejscach gdzie jest krzyż – za zmarłych. Ludmiła dużo opowiadała o ikonach Rublowa, które wisiały w tamtejszych ikonostasach.

W drugim soborze, z grobem Borysa Godunowa było wielu modlących się i składających mu hołd. We wnętrzu nie można było robić zdjęć, dowiedziałam się o tym, gdy jedna z zakonnice zwróciła mi uwagę po rosyjsku.

W czasie wolnym grupa mogła zjeść obiad na terenie klasztoru lub zrobić pamiątkowe zakupy z tego niezwykłego miejsca. Ja wybrałam krótki, deszczowy spacer po klasztornym dziedzińcu, a następnie schroniłam się w księgarni. Kupiłam tam bajki po rosyjsku z przepięknymi obrazkami i zdobieniami, typowymi dla Rosji (pyszna cena 480 RUB).

Poza terenem klasztoru, na małym targu, kupiłam też czapkę i szalik, w typowo rosyjskie wzory i kolory, za które wytargowałam łączną kwotę 1000 RUB (200 RUB zniżki). Ponadto dwa długopisy zakończone

matrioszkami. Oprócz zakupów zdążyłam jeszcze zajrzeć do uroczej herbaciarni, w której siedziały nasze przewodniczki – Olga i Ludmiła oraz kilka uczestniczek wycieczki. Miejsce miało piękny, klimatyczny, rosyjski wystrój. Balustrady na schodach w kształcie matrioszek. Taborety z malunkami kwiatów i wyciętą dziurką w kształcie serduszka. Słodki był urok rosyjskich wnętrz, które dane mi było zobaczyć.

Opuściliśmy Siergijew Posad, inną drogą jadąc w kierunku Moskwy. Na głównej trasie tworzył się już korek, kierowca wybrał zatem starą drogę prowadzącą przez rosyjskie wsie i miasteczka. Warto było zobaczyć drewniane, kolorowe domeczki, których było mnóstwo. Warto było odwiedzić Puszkino – rodzinne miasto Puszkina. Ludmiła opowiedziała ciekawą historię życia wielkiego poety, której nie znałam. Otóż jego dziadek był Etiopczykiem (dawniej Etiopia nosiła nazwę Abisynia). Sprowadzony do Rosji, jako niewolnik, tak spodobał się carowi Piotrowi I, że ten nadał mu tytuł szlachecki, w ślad za czym mógł osiedlić się tutaj na stałe. Matka Puszkina była piękna i miała urodę Kreolki, ojciec zaś był Rosjaninem. Puszkina miał rysy twarzy Etiopczyka i duże usta, choć oczy niebieskie i jasne włosy. W Etiopii stoi pomnik Puszkina, tam uważają go za narodowego poetę, jak w Rosji. Pomniki Puszkina są w wielu miejscach w Rosji, jak choćby ten na wysokiej kolumnie w samym Puszkino.

W Moskwie zatrzymaliśmy się na dawnych terenach wystawowych WDNK. Akurat remontowano drogi i wymieniano starą infrastrukturę na nową, wszędzie było błoto i chaos organizacyjny. Ludmiła opowiadała o psach, z których pierwszy – Łajka poleciał w kosmos i nie wrócił. Kolejne już wracały. A potomka jednego z nich podarowano któremuś z prezydentów Stanów Zjednoczonych. Ludmiła mówiąc to uśmiechała się, biło od niej ciepło, pogoda ducha i mądrość życiowa.

Zobaczyliśmy słynne pomniki rzeźby socrealistycznej: Robotnika i Kołchoźnicy oraz Zdobywców Kosmosu z rakieta na szczycie. W tle widoczny był hotel Kosmos w kształcie półokręgu. Przez wysoką bramę, do złudzenia przypominającą Bramę Brandenburską w Berlinie, wkroczyliśmy na teren WDNK. Każdy kraj byłego ZSRR miał tam swój pawilon.

Pogoda była naprawdę odstrasżająca, większość grupy pozostała w najbliższej kawiarni, by się rozgrzać i osuszyć. Nieliczne grono, w tym ja, powędrowało za Ludmiłą, uradowaną tym, że znaleźli się chętni, by jej towarzyszyć. Najpiękniejszy pawilon – Armenia był zagrodzony i niedostępny. Rakieta i samolot ekspedycji pod nazwą Buran (z rosyjskiego: burza śnieżna) zaciekały tajemniczością, za nimi w tle majaczyła wieża telewizyjna Ostankino, o której wcześniej wspominała przewodniczka.

To miał być już koniec atrakcji na ten dzień i grupa planowała powrót do hotelu, stojąc zapewne w gigantycznym moskiewskim korku (były akurat godziny szczytu). W mojej głowie pojawił się nagły zamysł, by znowu oderwać się od grupy i samodzielnie pojechać na wieżę Ostankino. Wypytałam Olę i Ludmiłę o szczegóły dojazdu oraz niezbędne informacje i już zebrałam się z grupą. Na pewno musiałam mieć paszport (na szczęście miałam), o czym uprzedziła mnie Ludmiła. Bez niego wejście na wieżę nie byłoby możliwe.

Odnalazłam stację szybkiej kolei miejskiej. Najbliższy pociąg, jak usłyszałam od pani w kasie, odjeżdżał za cztery minuty. Szybko skasowałam bilet (kupiłam na dwie pojeżdki, taki sam jak na metro) i wjechałam schodami ruchomymi na peron, skąd roztaczał się widok na WDNK. Wysiadłam na drugiej stacji (tieliecentr), skąd idąc śladem grupy uczniów z nauczycielką poszłam w kierunku wieży. Była widoczna z daleka, świeciła niebiesko – czerwonym blaskiem.

Wieża Ostankino ma wysokość 540 metrów i jest najwyższą wieżą telewizyjną w Europie. Chociażby z tego powodu warto było ją zobaczyć, nawet przy niesprzyjającej pogodzie i małej widoczności. Była też

symbolem Moskwy, często o niej wspominało mówiąc o Rosji. Musiałam ją zdobyć.

Długo szukałam wejścia do wieży i kas, szłam wzdłuż wysokiego metalowego płotu ze szpicami na wierzchołkach. Płot był podwójny, z zasiekami pomiędzy, aby nikt niepożądany nie wtargnął na ostro pilnowany teren. Padał deszcz, chmury wisiały nisko nad miastem. Troszkę inaczej niż na Jested – hotelu zbudowanym na szczycie wznoszącym się nad Libercem (miastem w Czechach), który miałam okazję zobaczyć dwa miesiące wcześniej. Tam szczyt tonął wśród intensywnych opadów śniegu, tutaj deszczu. Akurat byłam w trakcie lektury książki „*Grandhotel – powieść nad chmurami*” autorstwa Jasroslava Rudisa. Notabene świetna książka, choć trochę dziwna i zakręcona. Nasuwa się pytanie, czy ktoś napisał książkę o wieży Ostankino? Chętnie bym takową przeczytała.

Znalazłam wreszcie bramę wjazdową i wejściową do wieży, z napisem ponad nią: (Ostanskinskaja Telebasznia). Była coraz bliżej. Byłam coraz bliżej. Dzieliły mnie od niej wysoki płot i kontrola paszportowo – bagażowa. Prześwietlono dokładnie mój bagaż (torbę, plecak i kurtkę) oraz mnie samą, stojącą w rozkroku z podniesionymi do góry rękoma. Zainteresowały ich, jak zawsze, moje łyżeczki w plecaku, ale po dłuższym namyśle pozwolono mi iść dalej. W kolejnym budynku sprawdzono mój paszport i mogłam kupić bilet na wieżę (1000 RUB). Po rosyjsku przestrzegano, że widok jest słaby, czyli prawie żaden. Morze pędzących, jak fale, chmur wisiało nad miastem. Niezrażona tym kupiłam bilet i ruszyłam w kierunku wieży. Wcześniej musiałam zostawić butelkę z wodą.

Idąc wśród deszczu zbliżałam się do długiego tunelu prowadzącego w kierunku wejścia, a raczej kolejnej kontroli bagażowo – paszportowej, o czym miałam dowiedzieć się wkrótce. Ponownie przeszświetlono mój plecak i torbę oraz mnie samą. Strażnika zainteresowało opakowanie gumy do żucia, w końcu zdecydował się mnie puścić. Jeszcze tylko druga kontrola paszportowa i wreszcie znalazłam się u podnóża wieży Ostankino.

Wkrótce ktoś z obsługi zawołał mnie i wjechałam windą, sam na sam z obsługą, na wysokość 337 metrów. Prędkość wynosiła 7 m/s, dziwnie zatykało mi uszy. Szybciotko i bezszelestnie znalazłam się na tarasie widokowym, całym przeszklonym i okrągłym. Podłoga również, na pewnej części była z grubego szkła, mogłam widzieć pod sobą miasto, samochody małe jak zabawki, wszystko było takie maleńkie. Bałam się stąpać po szkle, strach nie pozwalał mi na nim stanąć. Patrząc w dół, uporczywie trzymałam się barierki. Patrzyłam na zapłakane deszczem miasto, które czasem niknęło w chmurach. Chwilami za oknem było białe, a widoczność nieprzezroczysta jak mleko. Miało to, przynajmniej dla mnie, swój niepowtarzalny, oniryczny czar.

Spacerowałam po tarasie patrząc na Moskwę z góry, czasem widoczną, czasem zupełnie nie. Strach przed podłogę ze szkła nie mijał, zdecydowałam się zatem na małe piwko. Wypiłam je poziom niżej w barze z obrotową podłogą. Jeszcze niżej była kawiarnia, a tuż pod nią elegancka restauracja. Powoli sącząc piwo, poddawałam się panującej na zewnątrz atmosferze mistycyzmu i tajemniczości. Chmury znikwały, pozwalając widzieć odległe rejony Moskwy, to znów zasłaniały mi sobą całą widoczność. Przeganiał je wiatr. Tkwiłam w miejscu, a świat zmieniał się dookoła. Gdy dokonał się pełen obrót, dopiłam piwo i weszłam na poziom tarasu widokowego. Teraz miałam już odwagę, by swobodnie chodzić po szkle. Nie ja jedna. Zrobił się mały, trzyosobowy tłumek. Robiłam zdjęcia.

Tym samym uznałam, że zwiedzanie wieży dobiegło końca i chciałam wracać. Winda nie nadjeżdżała, więc spróbowałam zejść po schodach. Poniżej poziomu restauracji włączył się alarm, szybko więc wróciłam na taras widokowy. I tam cierpliwie czekałam na windę, która na szczęście wkrótce nadjechała, zabierając tym razem kilkoro pasażerów. Znowu zatykało w uszach.

Byłam szczęśliwa, dokonując prawie niemożliwego. Byłam szczęśliwa, realizując spontaniczny plan. Super, naprawdę warto było tego doświadczyć. Wróciłam tą samą drogą, którą przyszedłam, tylko już bez kontroli. Z wieży nie mogłam niczego wynieść. Odebrałam wodę. W sklepiku z pamiątkami nabyłam dwie koszulki z wyraźnie zarysowanym kształtem wieży Ostankino (cena za obie 2800 RUB). Tutaj nie można było negocjować ceny, była odgórnie ustalana przez państwo.

Podróż powrotna do hotelu zajęła mi bardzo dużo czasu. Najpierw przemarsz w deszczu na stację kolejową, potem długie czekanie aż nadjedzie pociąg (nadjechał powoli jak gąsienica). Następnie metrem ze stacji WDNK, z dwoma przesiadkami do stacji Partyzanckaja w dzielnicy Izmaïłoje. Po drodze widziałam kilka ładnych stacji. Byłam potwornie zmęczona i głodna (zagryzałam gorzką czekoladę wodą), ale szczęśliwa. W hotelu stawiałam się o dziewiątej wieczorem i z marszu poszłam na kolację.

Jak się później okazało pod wieżę Ostankino regularnie kursował busik (nr 311), który miał ostatni przystanek niedaleko naszego hotelu, przy stacji metra Partyzanckaja. Zbyt późno to odkryłam, ale komuś ta informacja może przydać się w przyszłości.

Po kolacji zaczęłam pakować pamiątki do plecaka. To był bardzo udany, pełen rozmaitych wrażeń dzień, deszcz nie tylko urozmaicił wyprawę i nadał jej dodatkowego uroku zmienności Rosji, ale pozwalał pospać w autokarze.

Było grubo po północy, gdy kładłam się spać. Nazajutrz rano mieliśmy opuścić pokoje w dzielnicy Izmaïłoje, gdzie tak dobrze się spało. Hotel GAMMA to świetna baza wypadowa do centrum Moskwy.

I jeszcze jedna ważna informacja, o której niemal zapomniałam. Dziś rano dostałam tabletkę przeciw alergii od moich znajomych z Kielc. Lek nazywa się Clatra i jest tylko na receptę. Cały dzień miałam spokój z katarem, kichaniem i łzawieniem. Rewelacją było odczuć tak niebywałą ulgę. Pozostaje tylko pytanie, co mogło być przyczyną nagłej alergii, na pewno coś nowego w diecie. Może algi/wodorosty, których skosztowałam podczas pierwszej kolacji?

Ciekawostki Ludmiły:

Moskiewskie metro cały czas intensywnie się buduje, są na to środki, powstają nowe linie i stacje. Metro istniało tu już przed wojną z Niemcami, od 1935 roku. Budowano je nawet w czasie wojny. Obecne metro liczy około 200 stacji, a łączną długość linii to ponad 300 km. Dane te ciągle się zmieniają. Moskwa to wielki plac budowy.

Ponadto, jak zauważyłam, na każdej stacji metra, tuż przy schodach ruchomych była budka. Siedziała w niej pani, która miała za zadanie nadzorować ruch schodów ruchomych i w razie konieczności zatrzymywać je. Nawet byłam świadkiem, że schody stanęły, bo jedna kobieta zasłabła. Wstrzymano ruch, aby niezwłocznie mogła nadejść do niej pomoc. W sumie dobry pomysł z takim rodzajem zatrudnienia. W Petersburgu nie było takich budek, nie było siedzących w nich kobiet.

19 kwietnia 2018, czwartek

Po śniadaniu opuściliśmy hotel, bagaże zostawiając w autokarze. Miały jeździć z nami aż do nocy, kiedy to... ale o tym później.

Stojąc w moskiewskich korkach dojechaliśmy do Galerii Trietiakowskiej, w drodze Ludmiła pokazywała nam miejsca godne zwrócenia uwagi. Jak Hotel Ukraina, który był bliźniaczo podobny do naszego Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie, tylko zbudowany z większym rozmachem. Jak się miało okazać takich naszych PKiN było w Moskwie aż siedem, nazywali je tam wysotkami. Miały różne przeznaczenie, a to ekskluzywny dom mieszkalny, a to część Uniwersytetu Łomonosowa, który mieliśmy okazję później zobaczyć na Wyrobiowych Wzgórzach. Pozostałe miały inne jeszcze przeznaczenia, ale wszystkie do złudzenia były do siebie podobne. Wyróżniały się w Moskwie.

Budynek galerii miał typowo rosyjski front, isticie pałacowy, przepiękny. Dotarliśmy do niego przekraczając rzekę Moskwę po mosteczku obsadzonym kłódeczkowo – miłosnymi drzewkami. Miłość kwitnie w Moskwie na czerwono, nie tylko w dniu zakochanych.

W galerii założyliśmy nieodzowne nauszники, a przewodniczka zaczęła wskazywać co cenniejsze obrazy znanych rosyjskich mistrzów malarstwa. Nie było sposobu obejrzenia wszystkich, czas naglił, a programie było jeszcze dużo planów na ten ostatni dzień w Moskwie. Było wiele pięknych obrazów i nazwisk, których nie spaamiętałam. To niewykonalne. Jednak utkwiły mi w pamięci obrazy Ilji Riepina, ze swoją żywością i wspaniałym odzwierciedleniem rosyjskiej kultury i klimatów panujących w jego czasach. Przykuł uwagę portret Tołstoja, genialnego twórcy „*Anny Kareniny*” oraz „*Wojny i pokoju*”.

Warte zatrzymania się na dłużej były portrety Aleksandra Puszkina oraz Fiodora Dostojewskiego (pędzla Pierowa), geniusza którego cenię i uwielbiam. Zobaczyłam obrazy malarza z Rosji – Karla Briułłowa, bardzo mi się spodobały.

Końcowym punktem zwiedzania Galerii Trietiakowskiej było podziemie z ikonami, w tym ikona Rubłowa pt.: „*Trójca*” z 1410 roku, wpisana na światową listę dziedzictwa Unesco. Później był czas wolny, który posłużył na bratanie się z uczestnikami wycieczki w przyjemnej, lustrzanej jak na galerię przystało kawiarnio-restauracji. Kupiłam kilka drobnych pamiątek i już bieглиśmy, prawie dosłownie, do autokaru czekającego na nabrzeżu rzeki Moskwy.

Spod galerii pojechaliśmy do klasztoru i cmentarza Nowodziwiczego. To zakon żeński, do którego przez wieki przyjmowano nowicjuszeki jedynie z zamożnych, bojarskich rodów. Zakon był jednym z najbogatszych w całej Rusi. Zgodnie z tym co mówiła Ludmiła, w Rosji istniał zwyczaj nie uśmiercania niechcianych żon albo niewygodnych dla władzy kobiet. Zamiast mordować, bezceremonialnie zsyłano je do zakonów żeńskich, gdzie miały doczekać kresu swych dni. Wbrew ich woli oczywiście i przygotowawszy uprzednio niezbędne, „prawdziwe” powody, aby je tam skierować, podczas gdy aktualnie rządzący car mógł poślubić nową oblubienicę, której los nierzadko był podobny do poprzedniczki. Smutno tak szczenąć w zapomnieniu i odrzuceniu, ale taka była historia Rosji. Brutalna i okrutna.

Tuż przed klasztorem, znajdował się staw, niegdyś pełen ryb – głównego źródła pożywienia przebywających tam kobiet. Mięsa nie wolno było im jadać. Z punktu widokowego doskonale było widać rosyjskie City, tzw. centrum biznesowe z wieżowcami i biurami, jak w Londynie. Na terenie klasztoru, na trawnikach gdzieś zalegały jeszcze płaty śniegu. Tutaj wiosna była jeszcze daleko w powijakach.

Po spacerku klasztornymi dziedzińcami udaliśmy się na przylegający doń stary cmentarz. Założono go pod koniec XIX wieku, ale dopiero w okresie radzieckim stał się on odpowiednikiem polskich Powązek. Chowano tu ludzi zasłużonych, artystów i uczonych – oczywiście tylko akceptowanych przez partię. Ludmiła wskazała obrzydliwy, choć ogromny grobowiec Jelcyna. Potem miejsce pochówku żony Gorbaczowa, której grób często odwiedza nadal żyjący były prezydent Michaił. Mnie najbardziej zainteresowały groby wielkich rosyjskich pisarzy (ruskich pisateli): Bułhakowa, Gogola oraz Czechowa. Zrobiło to na mnie ogromne wrażenie, byłam dumna mogąc złożyć należny im hołd. Wskazano nam groby znamienitych artystów kina, teatru i muzyki rosyjskiej, ich nazwiska znali starsi uczestnicy wycieczki. Nie ja.

Końcowym etapem zwiedzania Moskwy były Wyrobiowe Wzgórza, skąd roztaczał się widok na słoneczną tego dnia Moskwę. Na odległe, wspomniane wcześniej centrum biznesowe. Na rzekę Moskwę i budowany nowy stadion na mistrzostwa w piłce nożnej, które odbędą się w tym roku w Rosji. Jeszcze tylko sesje fotograficzne z tarasu widokowego i na Uniwersytet Łomonosowa w jednej z tzw. wysotek, a potem trzeba było już wracać w długim i powolnym korku do hotelu w dzielnicy Izmajłoje. Przewodniczka Ludmiła opowiadała o horrendalnie wysokich cenach mieszkań w Moskwie. Cena za metr może dochodzić nawet do kilkunastu tysięcy dolarów. Szok! Nieliczni mogą pozwolić sobie na tak ekstremalny wydatek, duża część społeczeństwa żyje w nędzy albo na skraju ubóstwa. Szczególnie przy tak niskich emeryturach, jak rosyjskie. Ale to już zupełnie inny temat...

Ludmiła opuściła nas w okolicach Placu Czerwonego i raptem zrobiło się mniej ciekawie tzn. milcząco. Po dotarciu do hotelu, spędziliśmy w nim trzy godziny, bez sensu wałęsając się po okolicy lub co po niektórzy zajmując hotelowe fotele, czekając na dalszy punkt programu. Część uczestników, którzy mieli wykupione obiadowe kolacje jedli ją bardzo długo. Jeden pan wykupił sobie pokój w hotelu na trzy godziny, płacąc stawkę za całą dobę, w Rosji nie ma taryfy ulgowej.

Niektórych członków wycieczki spotykałam błakających się po korytarzach, łazienkach, gdzie dokonywali ablucji po całym długim dniu. Inni drzemali po kątach i wnękach hotelowych. Na szczęście ten stracony czas dobiegł końca i mogliśmy zacząć realizować dalszy punkt programu. Przejazd nocnym pociągiem z Moskwy do Petersburga.

W hotelowej recepcji Olga wręczyła każdemu bilet na pociąg. Przedziały miały być czteroosobowe, a my wszyscy mieliśmy być razem w jednym wagonie. Zapowiadała się niepowtarzalna atrakcja – spędzenie nocy w rosyjskim pociągu. W wagonie jedenastym, z czterema losowo przydzielonymi osobami z naszej grupy. Oby tylko nie chrapali, oby pozwolili choć trochę pospać i przetrwać noc, która mogła okazać się wyjątkowa w doborowym towarzystwie.

Jadąc autokarem na dworzec Leningradzki, skąd odjeżdżały pociągi do Petersburga, przypomniałam sobie ciekawostki Ludmiły:

Moskwa to Rosja, Petersburg to Europa. Nie należy porównywać tych miast, są zupełnie inne, jak dwa różne światy.

Ludmiła przeczytała nam fragmenty zapisków Nabokova, który porównywał oba te miasta. Sam Nabokov, pochodzący z Petersburga, jako dziecko znał tylko jedno słowo po rosyjsku – kakao. Potem wyemigrował z Rosji, ale nauczył się rosyjskiego. Pokochał go i pisał językiem tak pięknym i wyrafinowanym jak żaden inny pisarz rosyjski (według Ludmiły).

Przed dworcem Leningradzkim odebraliśmy bagaże i ruszyliśmy do poczekalni, gdzie czekała nas szybka

jego kontrola. Do odjazdu pociągu pozostała ponad godzina, czekaliśmy aż można będzie wsiadać (pół godziny przed odjazdem). Są trzy rodzaje pociągów do Petersburga: firmowe, pospieszne i super szybkie – najdroższe (bilet kosztuje od 2800 do 9000 RUB).

Zostawiłam plecak przy naszej stacjonarnej grupie i poszłam przejść się po dworcu, a wracając, usłyszałam z daleka chór! W poczekalni śpiewał chór elegancko ubranych młodych ludzi. Pięknie odśpiewali jedną pieśń, radośnie i czysto, a potem uśmiechnięci wzięli swoje rzeczy i wyszli z poczekalni. Tylko w Rosji może zdarzyć coś takiego, wywołać uśmiech i nikogo nie zdziwić. To Rosja, a raczej Moskwa, spontaniczna i żywa, jak dziewczyna z prowincji.

Zadziwił mnie też fakt, że nawet w naszej grupie ceny biletów na pociąg były różne. Przykładowo mój bilet kosztował 1099 RUB, a kogoś innego 1546 RUB, a jeszcze inny 1415 RUB. Znow Rosja?

Pociąg był strasznie długi, dwupiętrowy i zajmował całą długość peronu. Był w kolorze białym z niewielkim dodatkiem czerwieni. Przy wejściu do każdego wagonu stała kobieta z obsługi (rzadko mężczyzna) w granatowym uniformie i czerwonej usztywnianej czapce. Tutaj również potrzebny był paszport, nie wręczony nam bilet. Gdy podałam bilet, pani wyciągnęła rękę po paszport, wpisała coś do swojego mini komputerka i pozwoliła wejść do wagonu, mówiąc parter lub piętro (odpowiednio pierwszy etaż lub wtoryj etaż). W języku rosyjskim, podobnie jak w angielskim parter to pierwszy etaż (first floor), a pierwsze piętro to wtorej etaż (second floor).

Moje „łóżko” było na górze, w przedziale wspólnym ze starszą panią i dwoma mężczyznami. Wiedziałam już, że dwoje z nich chrapie. Cóż... ciężka miała to być noc.

Pociąg zrobił na mnie bardzo pozytywne wrażenie: czysty, schludny, jasny i jasno-oświetlony. Korytarze były długie i szersze niż w polskich pociągach. Na parterze były trzy toalety z umywalką i dużym lustrem, dla podróżnych z obu pięter. Przedziały były małe, równie czyste, z dużym stolikiem i ciepłą pościelą (kołdra, poduszka, prześcieradło plus mały ręczniczek).

Rozlokowałam się i przebrałam (panowie na ten czas wyszli) w podróżną, ciepłą, jednoczęściową piżamę z kapturem. Kupiłam ją kiedyś na zimne noce, teraz miałam się przekonać, czy się sprawdzi. Razem z kolegą z sąsiedniego przedziału zrobiliśmy piżamową przechadzkę po pociągu, aż do wagonu barowego. Na parterze był powierzchniowo skromny, na górze miał wiele miejsc siedzących i stolików.

Podczas naszego spaceru obsługa pociągu roznosiła kanapki, oprócz tego na stoliku stały cztery pakuneczki, dla każdego po jednym, z wodą w środku i chusteczką nawilżającą. Świetnie pomyślane na rano.

Przedziały były tak zbudowane, że zamiast wewnętrznych szyb wychodzących na korytarz, miały lustra. Żadnych firanek, żadnego szamotania się z nimi, żadnych pourywanym żabek. I jeszcze zameczek od środka, żeby nikt niepowołany nie wszedł. Pociąg był bardzo bezpieczny (nie było szansy, żeby wtargnął jakiś złodziej), nowoczesny oraz rewelacyjnie cichy. O czym przekonałam się podczas całej trasy, nie śpiąc i nie mogąc zasnąć, nawet gdy towarzystwo w przedziale nie zaczęło jeszcze chrapać. Szczerze mogę polecić taki środek transportu relacji: Moskwa – Petersburg (odległość ponad 700 km). To prawdziwa przygoda, w pozytywnym tego słowa znaczeniu.

Jak wspominałam wcześniej, nie mogłam spać, chociaż położyłam się przed północą. Kręciłam się z boku na bok, wsłuchując w cichutkie dudnienie pociągu, jakby był wyciszony. Chrapanie pode mną wiodło

prym wszelakim dźwiękom. Na pewno ludzkie traktory będą rano wyspane, ja niekoniecznie. W nocy wstawałam do toalety, spotykając inne nieśpiące owieczki skazane na niefortunne chrapanie przymusowych współlokatorów. Nie spałam jeszcze o 3:40, zasnęłam na krótko, a zostałam obudzona już o 5:30. Oni wstali wyspani, jak skowronki, a ja cóż, biedna sowa... Jak miałam przetrwać ten dzień pełen atrakcji? Pierwszy dzień w Petersburgu...

20 kwietnia 2018, piątek

Wstałam rano nieprzytomna, był najwyższy czas, aby zwlec się z łóżka. Pociąg za pół godziny miał dojechać do stacji końcowej – Dworca Moskiewskiego w Petersburgu. Jakoś sobie poradziłam, nawet do toalety w korytarzu nie było kolejki, ale wiedziałam na pewno, że będzie to bardzo długi dzień.

Niektórzy zdążyli zamówić w pociągu kawę lub herbatę, ja mogłam tylko pomarzyć. Nie było już czasu. Przed siódmą pociąg powolutku zatrzymał się na stacji w Petersburgu i zaczęliśmy wysiadać. Gdy zebrała się grupa, ruszyliśmy w kierunku autokaru, który czekał gdzieś w pobliżu, jak się później okazało było to dalekie pobliże. Plecak ciążył, senne oczy jeszcze bardziej. Ach co to miał być za dzień. Marzyłam o jednej rzeczy – kawie. Dużym kubku mocnej kawy.

Na dworcu przykuła moją uwagę młoda, elegancko ubrana dziewczyna, z włosami zaplecionymi w warkocz. Ciągnęła za sobą walizkę, a w ręku trzymała etui ze skrzypcami lub wiolonczelą. Pewnie przyjechała nocnym pociągiem z Moskwy, tym samym co ja. Może tym samym pociągiem jechali członkowie chóru, którego miałam okazję posłuchać w poczekalni dworcowej w Moskwie? Może dziś albo nazajutrz miał odbywać się konkurs młodych umuzykalnionych talentów z Rosji? Piękna sprawa.

Patrząc na ciągnącą się za mną i przede mną grupę zauważyłam, że wiele osób wygląda bardzo źle. Pewnie ich noc podobna była do mojej. Wspominali jakieś libacje alkoholowe w przedziałach, spotkania o drugiej w nocy. A teraz...masz ciało, co chciało.

Jak tylko wsiedliśmy do autokaru, próbowałam się zdrzemnąć. Chociaż na chwilę, zanim dotrzemy na śniadanie do hotelu. W takim stanie nawet kilka minut wyrwane dniowi, jest bezcenne.

Zameldowaniem w hotelu Azymut zajęła się Olga, a my szturmem ruszyliśmy na śniadanie. Dostałam swój wielki kubek kawy i świat powoli zaczął nabierać barw. Rozglądałam się po hotelowej restauracji. Była znacznie mniejsza niż ta w Moskwie. Mniej stolików, mniejszy wybór potraw serwowanych jako bufet szwedzki. Uczestnicy wycieczki również powoli się ożywiali, pojawiały się uśmiechy na twarzach. Słyszałam żarty na wspomnienie o nocnych uciechach z pociągu. Po kawie zjadłam śniadanie właściwe, chociaż lekkie. Byłam gotowa na zwiedzanie Petersburga!

Hotel Azymut położony był nad rzeką Fontanką, niedaleko dwóch stacji metra (Baltijskaja oraz Technologiczeskij Institut). Jak się miało okazać później, była to dobra baza wypadowa do zwiedzania miasta.

Petersburg powitał nas chłodem i pochmurnym niebem. Tutaj daleko było do wiosny, jakby okres wegetacyjny miał trzytygodniowe opóźnienie. Było znacznie chłodniej niż w Moskwie.

Punkt dziewiąta wsiedliśmy do autokaru, w którym powitała nas nowa przewodniczka. Była żywotna i energiczna, i od razu zaczęła krytykować Moskwę, porównywać ją negatywnie do Petersburga. Nie miała klasy i wycucia jak Ludmiła. Nie miała też takiej wiedzy, sypała tylko żartami żarcikami ku ucieście grupy, ale żadną specjalną ciekawostką nie przykuła mojej uwagi. Mówiła wystarczająco poprawnie, nic nadzwyczajnego. Suche fakty i informacje. Nie pamiętam jak naprawdę miała na imię, ale przyjmę, że Danija.

Walcząc z pokusą, by nie usnąć podczas monotonnej wycieczki objazdowej przez miasto, patrzyłam przez szybę i słuchałam Daniji. Ciekawie snuła opowieść o carach i carycach, o koligacjach, romansach, faworytach. Nieślubnych dzieciach, morderstwach i rzeziach. Kilka razy mówiąc o II wojnie światowej, nazywała ją wojną z Niemcami, podając jednocześnie datę ich napaści na Rosję (1941 rok). Ja i moi sąsiedzi z autokaru, spojrzeliśmy na siebie zdziwieni. Wręcz zszokowani. Danija, zupełnie pomijała fakt, że wojna zaczęła się od agresji Rosji (i Niemiec) na Polskę w 1939 roku. Jakby ten fakt nie istniał, jakby był nieistotny. Nikt nie miał odwagi jej przerwać i podważyć tego, co mówiła. We mnie zaś pojawiła się do niej jeszcze większa niechęć.

Autokar zatrzymywał się w kilku miejscach, abyśmy mogli wyjść i porobić zdjęcia m.in. nad szeroką Newą (głębokość od 16 do 25 metrów, dlatego petersburskie metro jest jednym z najgłębiej położonych systemów metra na świecie). Przy ceglasterwonych i bliźniaczo podobnych Kolumnach Rostralnych na Wyspie Wasilewskiej można było zejść nad samą rzekę Newę, skąd doskonale było widać Pałac Zimowy. W nim właśnie znajduje się słynne muzeum Ermitaż, na którego zwiedzenie jeden dzień, to za mało. Stojąc na kamiennym nabrzeżu, patrzyłam na taflę wody. Płynęły po niej pojedyncze kry lodowe. W oddali majaczyła wieżyczka soboru Piotra i Pawła na terenie Twierdzy Pietropawłowskiej, na Wyspie Zajęczej.

Następnym przystankiem był słynny krążownik „*Aurora*”, którego działa obwieściły światu początek rewolucji październikowej. Krótka sesja fotograficzna dla chętnych, niektórzy nawet nie wysiedli z autokaru, tak było zimno i wietrznie.

Ważnym punktem programu była wizytacja soboru Świętego Izaaka – największej świątyni miasta, przy której znajduje się pomnik cara Mikołaja. Wnętrze soboru bardzo okazałe, aż kapało od bogactwa i złota. Kolory mieniły się w oczach, szlaki wielonarodowych wycieczek niejednokrotnie przecinały. Przewodniczka Danija, była dumna, mówiąc, że sobór Św. Izaaka zajmuje czwarte miejsce na świecie pod względem wielkości. Pierwsze miejsce piastuje Bazylika Św. Piotra w Rzymie, drugie Katedra Św. Pawła w Londynie, trzecie zaś katedra (Santa Maria del Fiore) we Florencji. Wszystkie z nich miałam szansę zobaczyć na własne oczy. Jeśli zaś chodzi o przepych, bogactwo i wartość samej budowli, niepodważalnie sobór w Petersburgu zajmował pierwsze miejsce.

Po zwiedzeniu soboru popędziliśmy (dosłownie) wśród wiatru i chłodu znad rzeki w kierunku pomnika – posągu Piotra Wielkiego na koniu. Słynnego „*Miedzianego Jeźdźca*” uwieńczonego w poemacie Puszkina – „*Eugeniusz Oniegin*”. Warto było zobaczyć jego potęgę z bliska.

Następnym punktem zwiedzania, dla mnie najważniejszym, był Ermitaż. Światowej sławy muzeum mieszczące się w Pałacu Zimowym. Olga kupiła bilety już wcześniej, nie musieliśmy więc stać w długiej kolejce turystów z całego świata. Grupę prowadziła Danija, dzierżąc żółtą różę w dłoni. Była małą, drobną kobietą, i gdyby nie ta róża byłaby zupełnie niewidoczna.

Fasada pałacu była przepiękna, zielono – złota. Wnętrza muzeum pełne były przepychu i bogactwa,

kryjąc niezliczone, bezcenne skarby. W Ermitażu mieliśmy spędzić dwie godziny, łącznie z czasem wolnym i traceniem go na stanie w kolejkach do toalety oraz kupowaniu przewodników wciskanych przez miejscowych handlarzy (400 RUB przewodnik o Ermitażu, 400 RUB – o Petersburgu).

Wreszcie, gdy grupa się zebrała zaczęliśmy zwiedzanie. Ku sztuce przez duże „S” wiodła nas żółta róża. Szliśmy bardzo szybko, zatrzymując się na dłużej tylko w wybranych salach. Robiły wrażenie rozmiarem i przepychem. Podobały mi się żyrandole, zawsze zwracam na nie uwagę, i bogato zdobione obicia ścian. Duże, zdobne w piękne firany okna, sala tronowa, dekoracje sufitów, marmurowo – złote wnętrza. Złoty paw pełniący rolę niespotykanego nigdzie indziej zegara. Malachitowe wazy i stoły. Danija zatrzymywała się przy obrazach mistrzów, których lubię. Leonardo da Vinci, Rafael, Rembrandt (cała sala jego obrazów), van Dyck (znów cała sala, w tym obraz warty wspomnienia, na którym córka karmi piersią ojca przebywającego w więzieniu. Dzięki jej codziennym odwiedzinom i mlecznej diecie przeżył), Caravaggio (jedyne jego obraz tutaj – „Lutniarz”) oraz Goya.

Byłam ogromnie rozczarowana, gdy dowiedziałam się, że nie ma tutaj obrazów moich ulubionych impresjonistów. Nie zobaczyłam więc van Gogh ‘a, Moneta i Maneta, Renoir ‘a i innych. Ich obrazy przeniesiono do innego pałacu nieopodal i stanowiły odrębną wystawę, na którą my nie znajdziemy na pewno czasu.

Ogólne wrażenie jakie odniosłam podczas zwiedzania Ermitażu, to tłumy ludzi, głównie Chińczyków. Ścisk, tłok i pośpiech. Przepych i nadmiar, a jednocześnie niedosyt wszystkiego w tak krótkim czasie, jaki nam wyznaczono. Jeśli kiedykolwiek będę miała okazję być w Rosji, na pewno tu wrócę, do Ermitażu i muzeum impresjonistów. Wychodząc, pozostałam z ogromnym niedosytem.

Z Pałacu Zimowego pojechaliśmy na Wyspę Zajęcą, zobaczyć twierdzę Pietropawłowską oraz sobór Św. Piotra i Pawła. Na mostku łączącym wyspę z lądem młoda para miała sesję zdjęciową. Suknia panny młodej wirowała w powietrzu, poruszana porywistym wiatrem. Znów dopadła mnie senność, dotkliwie doskwierała zimnica, a sama twierdza nie zrobiła na mnie wrażenia. Nie po Ermitażu. Weszliśmy do wnętrza soboru. Znajdowały się tam grobowce carów, w tym również groby sprowadzonych tu ciał ostatniego cara Rosji – Mikołaja II wraz z całą rodziną. Poświęcono im odrębną kaplicę. Posępna jest historia ich rzezi, dokonanej 17 lipca 1918 roku, w małym mieście za Uralem. W ciągu pięciu minut wymordowano całą siedmioosobową rodzinę (car z żoną, ich cztery córki i jeden syn, chory na hemofilię, którego podobno cudownie uzdrawiał Grigorij Rasputin – powszechnie znany zakonnik z ogromnym przyrodzeniem, którego nader często używał w kontaktach z kobietami. Petersburg znany był z orgii z jego udziałem. Wszystko było mu wybaczone, do czasu... Ale to już inna, choć warta poczytania historia).

Senność i znużenie dopadły nie tylko mnie, wszystkie wolne ławki w soborze obsiedli uczestnicy naszej wycieczki. Niektórzy naprawdę odpływali do krainy Morfeusza i tylko szturchańce osób im bliskich, przywracały ich do realnego świata. To była męczarnia. Zaczęłam poszukiwać kawy. Wracając do autokaru znalazłam małą budkę z mocną i dobrą kawą z expressu, którą wypić udało mi się. Byli naśladowcy.

Organizacyjnie nastąpiło małe zamieszanie, zapanował chaos informacyjny. Nikt nie wiedział co mieliśmy robić dalej. Do rejsu statkiem po kanałach Petersburga pozostało kilka godzin. Ludzie byli głodni i senni, ogólnie niedoinformowani.

Spod twierdzy przejechaliśmy w okolice soboru Zmartwychwstania Pańskiego. Był w remoncie, ale do wnętrza można było wejść, do czego zachęcała Danija. Mieliśmy godzinę czasu wolnego. Każdy szybko

oddalił się w innym kierunku, jedni w poszukiwaniu jakiejś jadłodajni, inni sklepu spożywczego, jeszcze inni zakupu pamiątek. Może też spaceru po okolicy lub zwiedzania wnętrza soboru.

Ja zaszłam sobór od tyłu. Kryła się za nim uliczka ze straganami pełnymi pamiątek. Był to raczej deptak dla pieszych wzdłuż jednego z kanałów Petersburga. Kupiłam dwie dodatkowe matrioszki, a jedną dostałam gratis. Posłużyłam też jako manekin do przymierzenia chusty. Otóż grupa Chińczyków nie mogąc się zdecydować na kupno szala, przemierzyła go do mojej twarzy okolonej gęstwiną jasnych włosów (za moim przyzwoleniem oczywiście), co ułatwiło im podjęcie szybkiej decyzji.

Byłam głodna i udałam się na poszukiwania jakiejś jadłodajni, nie restauracji z wysokimi cenami. Chciałam skosztować typowo rosyjskiej kuchni. Szukajcie, a znajdziecie. Znalazłam „Stołowają” polecaną przez Daniję. To petersburska sieć tanich barów, ze smaczną typowo rosyjską kuchnią. Zamówiłam zupełną rybą „ucha” oraz danie z łososia wraz w warstwowo na nim ułożonym ogórkiem kiszonym i omletem. Za całość zapłaciłam 285 RUB. Jedzenie było pyszne (wkusny z rosyjskiego) i ciepłe. Samo wnętrze zaś czyste, schludne i przyjemne. Polecam to miejsce. Nie trzeba wydawać kroci, żeby smacznie i przyjemnie zjeść.

„Stołowaja” była położona tuż obok kanału Fontanki lub rzeki Mojki, wzdłuż której dotarłam z powrotem do przepięknie zdobionego soboru Zmartwychwstania Pańskiego. Im był bliższy, tym piękniejszy. Każde zdobienie i kopuła bardziej widoczna, koloryt również.

O ustalonej godzinie wsiadłam do autokaru. Większość osób już była, kilku spóźnialskich zjawilo się niebawem. Opowiadali co widzieli, co kupili, co robili w czasie wolnym. Ja również.

Teraz przed nami był wyścig w czasie. Musieliśmy, ślimacząc się w korku, zdążyć na rejs po kanałach Petersburga. Kurs miał zacząć się o siedemnastej, pozostał nam kwadrans. Wszyscy nerwowo spoglądali na zegarki, robiąc zakłady, czy zdążymy, czy nie.

Zdążyliśmy! Z pięciominutowym opóźnieniem wszyscy siedzieli już w przeszklonym wnętrzu łódki, nikt nie odważył się wyjść na odsłonięty pokład. Panie okryły się kocami i zaczął się godzinny rejs. Płynąc Fontanką oglądaliśmy pałace z innej perspektywy. Słuchaliśmy interesujących historii z życia carów. Momentami prawie zasypiałam, z całych sił walcząc z opadającymi powiekami. Nie tylko ja. Jedna pani poległa w tej walce i tylko głowa jej smętnie zwisała. Kilku panów odważyło się wyjść na pokład, stamtąd na pewno była lepsza widoczność do robienia zdjęć. Z Fontanki, pod mostem wypłynęliśmy na Newę. Tam zaczęło kołysać i mocniej wiać. Czuć było ogrom wody pod nami, wzbudzający respekt. Z oddali dostrzegłam plażę pod murami twierdzy Pietropałwskiej. Z bliska klasę i piękno Pałacu Zimowego.

Po godzinie wróciliśmy do autokaru, czekającego na nabrzeżu. A stamtąd pojechaliśmy już do hotelu, zakwaterować się i zobaczyć pokoje. Tutaj podobnie jak w Moskwie, mieszkaliśmy na jednym piętrze. Trzecim z pięciu. Sam hotel nie był już tak imponujący, jak ten w dzielnicy Izmajłoje. Windy były małe, stare i powolne. Korytarze długie, brzydkie i ze staroświeckim i zaniedbanym wystrojem lat sowieckich. Pokój miał standard o wiele niższy. Był mniejszy, ze starym umeblowaniem, bez lodówki i sejfu. Bez mnogości lamp. Wykładzina była w kilku miejscach poplamiona, za to łóżko niezaprzeczalnie wygodne, o czym miałam szansę przekonać się jeszcze przed kolacją.

Łazienka pozbawiona była darmowych szamponów i innych przyborów kosmetycznych, były tylko ręczniki. Odświeżyłam się, a potem zeszłam na kolację. Wybór dań był mniejszy niż w hotelu GAMMA. Turystów także było mniej. Sala również była mniejsza. Ogólnie wszystkiego było jakby mniej. Niewpraw-

na obsługa nie radziła sobie z prostą czynnością sprawdzenia karty hotelowej. Nowy pracownik dopiero się uczył i potrzebował asysty.

Przy kolacji, co dziwne, senność mi przeszła. Może to za sprawą sympatycznej starszej pani, którą poznałam na wycieczce. Starość jest mądra i ma wiele do powiedzenia, wystarczy tylko się i słuchać. Naprawdę słuchać. I docenić szansę przeżycia z kimś drugiego życia. A może i trzeciego i czwartego....

W pokoju, zmęczona po całym dniu wzięłam prysznic i zasiadłam na łóżku spisując wrażenia z długiego, emocjonującego dnia. Pierwszego w Petersburgu, z kilkoma nadzwyczajnymi przykładami Klocji (Pałac Zimowy oraz sobór Zmartwychwstania Pańskiego). Za niedługo nastał wreszcie czas, aby pójść spać. Najutrz miał być ważny dzień – zwiedzanie carskich rezydencji - Peterhofu i Carskiego Sioła.

21 kwietnia 2018, sobota

Już wcześniej dowiedziałam się, że program wycieczki trochę się zmienił. Olga oddała nam z tego tytułu pieniądze (25 EUR). Otóż, w pierwotnej wersji mieliśmy dotrzeć do Peterhofu – słynnej rezydencji carów drogą morską, wodolotem od strony Zatoki Fińskiej, ale było na nie jeszcze za wcześnie, więc musieliśmy dojechać autokarem.

Po śniadaniu wyjechaliśmy wyjątkowo późno, o dziesiątej, z czego cała grupa bardzo się ucieszyła. Wszyscy byli wyspani i radośni, mimo pogody, która tego dnia nas nie rozpieszczała. Było przeraźliwie zimno, wietrznie i zanosilo się na deszcz. Aura przypominała raczej późną jesień, niż wczesną wiosnę.

W drodze do Peterhofu nowa przewodniczka Danija niewiele mówiła, nie była tak zajmującą uwagę słuchaczy osobą jak Ludmiła. Moim zdaniem nie sprawdziła się w roli przewodnika po tak wyjątkowym mieście i okolicach jak Petersburg. Ale to moje prywatne zdanie, pozostali mogli mieć inne.

Parking w Peterhofie pełen był autokarów. To bardzo popularny kierunek wycieczek z całego kraju i świata. Nie mieliśmy w planie zwiedzania pałacu o żółto – białe - złotych kolorach. Tutaj znów napotkałam Klocję, moją Klocję.

Widok z góry, z dziedzińca przed pałacem dawał niezwykle widok na cały ogród i fontanny w dole. Na pewno wiosną i latem było najpiękniej, teraz mogliśmy zobaczyć tylko zajawki i wyobrazić sobie jego cudowność w pełnym rozkwicie kwiatów, kolorów, wody i tęczy formującej się nad kaskadami.

Nagroda, może trochę niechcianą i niezasłużoną, był deszcz. Najpierw zaczęła siąpić drobniutka mżawka, a potem nadeszła istna ulewa.

Było przeraźliwie zimno. Miałam na sobie zakupioną w Siergiejew Posad ruską czapę z królika. Była ciepła, chroniła przed wiatrem i trochę przed deszczem, bo parasolki oczywiście nie miałam i w razie naprawdę sążnistych opadów, chowałam się pod parasolkę jednego z uczestników, sympatycznego pana anestezjologa.

Zeszliśmy do poziomego ogrodu, w kierunku odosobnionej fontanny Trytona (chyba, bo dobrze nie pamiętam). Silnymi rękoma rozwierał paszczę krokodyla, z której wypływała woda. Z paszcz czterech

zółwi uniesionych w górę wypływały również małe kaskady. Całość okryta była farbą w kolorze złota, która wyróżniała się na tle szaroburej okolicy. Drzewa były nagie, czarne od wody, bez załączków liści. Trawniki jeszcze nie pozieleniały, brakowało im słońca i ciepłoty.

Żółta róża powędrowała w głąb parku, grupa za nią. Mijaliśmy po drodze kilka innych fontann (jeszcze nieczynnych) i pomników, w tym posąg Piotra I, w jego naturalnych rozmiarach (204 cm wzrostu, rozmiar stopy 39, co automatycznie nasuwało pytanie o długość innej części ciała. Podobno Piotr I miał sto nieślubnych dzieci, więc...).

Władca stojący na wysokim postumencie patrzył w stronę zatoki, o czym miałam się chwilę później dowiedzieć. Przed nami był półokrągły pawilon, z działającą fontanną na dziedzińcu, a tuż za nim rozległy taras wychodzący na morze, którego daleki horyzont znikał w nieskończoności.

Taras był otoczony białą balustradą, która idealnie kontrastowała z sinym morzem. Po kamieniach schodziło się do wody. Tak spędzała czas letni carska rodzina i jej goście. Malownicze miejsce, które gdy uruchomiłam wyobraźnię, nie chciało mnie puścić ze swych ramion. Dopiero rześisty deszcz kazał mi dołączyć do oddalającej się grupy, pod bezpieczną kopułę parasola pana anestezjologa.

Idąc szybko, dotarliśmy do wielkiej kaskady. Fontanny jeszcze nie działały i nie mogliśmy podziwiać niezwykłego spektaklu wody tryskającej z tysiąca źródeł. Pozłacane posągi stały smutne, ociekając deszczem i czekając na ciepłe dni. Ponad kaskadą dumnie prężył się pałac, zapraszając do wnętrza. Jednak nawet przy tak pochmurnej pogodzie całość była piękna, niesamowita, nieporównywalna z niczym innym. Postanowiłam sobie, że jeśli kiedykolwiek będę miała okazję na pewno tu wrócę, najlepiej latem. Zobaczyć jak to miejsce, moja Klocja, wygląda w pełnym rozkwicie.

Mieliśmy godzinę czasu wolnego. Spacerowałam jeszcze chwilę wokół śniętych jak ryby fontann, czasem chroniąc się w pobliskim pawilonie. Miałam nadzieje, że deszcz przestanie padać. Działo się jednak zupełnie inaczej. Wbiegłam po schodach i skryłam pod pałacowym balkonem, pod którym zebrała się już spora grupka Chińczyków. Było ich w Rosji pełno. Czekałam, patrząc na martwą kaskadę. Z każdą minutą nadzieja na roz pogodzenie malała, w końcu ją straciłam i wystawiłam się na ulewę, dobiegając szybko do najbliższego punktu gastronomicznego, wielkiego namiotu, w którym było całe morze żółtych twarzy. Spojrzałam na menu i bez namysłu zamówiłam bliny z kawiozem (485 RUB). Byłam zdecydowana, musiałam skosztować tego obowiązkowego przysmaku kuchni rosyjskiej. Były pyszne. Pomarańczowa słoność idealnie komponowała się kwaskowatością śmietanki i zielenią ichniejszych ziół. Zadowolona ta niecodzienna przekąska.

Następnie ruszyłam na mały targ pełen stoisk z pamiątkami. Długo oglądałam i wybierałam, w końcu zdecydowałam się na prezent dla rodzicielki, która zawsze była wymagająca i krytyczna, podobnie jak siostra Antygona. Kupiłam mamie czerwone, ozdobne jajko z wieczkiem stojące na czterech nóżkach. Imitowało wyglądem przepiękne carskie jaja Faberge, samo też było wyjątkowo śliczne. Mogło służyć jako szkatułka na biżuterię. Obsługa, z którą rozmawiałam po rosyjsku zapakowała prezent w małe pudełeczko, dla bezpieczeństwa i już mogłam iść dalej, szczęśliwa i zadowolona.

Miałam jeszcze trochę czasu wolnego do odjazdu autokaru i zdecydowałam się na szybką kawę w innym pawilonie gastronomicznym. Kawa jednak szybka nie była. Długo przyszło mi czekać aż w końcu zostanie mi podane cappuccino z serduszkim w środku. Od zamówienia do podania upłynęło całe dziesięć minut, na wypicie gorącego napoju - dwie. Zrobiłam to, zostawiając pieniądze obok pustej filiżanki i pojechałam wśród ulewnego deszczu do czekającego autokaru. Wszyscy już byli na miejscu, i gdy tylko

wsiadłam, zaraz odjechaliśmy.

W autokarze było ciepło i przyjemnie. Można było podsuszyć kurtkę i czapkę oraz rozgrzać się po całoci, zanim dotarliśmy do kolejnego punktu programu – letniej carskiej rezydencji Carskie Sioło. Tam mieliśmy zobaczyć doskonale odrestaurowane wnętrza oraz replikę zaginionej Bursztynowej Komnaty, która zniknęła w tajemniczych okolicznościach podczas wojennej zawieruchy.

Carskie Sioło położone jest w miejscowości Puszkin, w którym uczył się wielki rosyjski poeta – Aleksander Puszkin. To z tej przyczyny miastu nadano nazwę Puszkin. W deszczu sprawiało przygnębiające wrażenie zaniedbania. Wiele budowli było rozsypującymi się ruinami, o które nikt nie dbał. Smutny widok miasta otaczającego elegancki pałac zbudowany z przepychem i bogactwem.

Wysiedliśmy z autokaru i główną aleją otoczoną kramami z pamiątkami ruszyliśmy do pałacu. To również była Klocja, tym razem niebiesko – białe – złota. Przepiękna fasada otoczona była misternie utkany rabatkami ogrodów, jeszcze bez kwiecica i kolorów, ale już przykuwająca uwagę różnymi wzorami.

Kryjąc się pod parasolkami dotarliśmy do wejścia. W pałacu schowały się tłumy turystów, w celu zwiedzania i przeczekania. Idąc za Daniją poznawaliśmy poszczególne pałacowe wnętrza. Bogactwo i przepych, aż raziły w oczy. Rozległy biały hol z symetryczną klatką schodową zdobiły rażąco purpurowe firany w wielkich oknach, stiuki oraz wazy pełne kwiatów. Przychodzących gości witały śliczności, to był rzeczywiście pałac jak z bajki.

Dalej rozległa sala balowa, ze ścianami z luster otoczonych złożonymi ramami. Dwa rzędy okien po każdej ze stron. Jasność i ciemność zarazem. Żyrandole, mój konik wszędzie gdziekolwiek jestem. Dookoła pełno bieli i złota, tylko podłoga pokryta była wysublimowanym parkietem.

W pałacu w Carskim Siole każdy zwiedzający musiał obowiązkowo chodzić w nałożonych na obuwiu materiałowych kapciach z gumką. Chronić miały delikatne, zabytkowe podłogi.

Wzorzyste, kafelkowe piece, przypominały te widziane niegdyś w Portugalii. Jadalnie z pełną zastawą stołową, uświadamiały codzienny splendor i szyk panujące kiedyś w pałacu, za czasów carskich. Złoto, biel i lustra oraz drewniane mozaikowe posadzki, tak można w skrócie opisać oryginalne wnętrza pałacu. Zdarzyła się również sala z dywanem na podłodze, otoczona rzędami błękitnych krzeseł. Miękkie, wyszywane tkaniny służyły jako obicie i drewno miało kolor złota. W kolorze błękitu były również podsufitowe malowidła, przedstawiające mitologiczne sceny. To musiała być bawialnia carycy, miała wyjątkowo kobiecy wystrój.

W sali skrywającej Bursztynową Komnatę był zakaz fotografowania, chociaż tam najbardziej kusilo. Kilka strażniczek wielkiego piękna surowo obserwowało każdy ruch zwiedzających. Czas na zwiedzenie był ograniczony, bo tuż za drzwiami czekała kolejna wycieczka.

To było arcydzieło różnych kolorów bursztynowych, misternie tworzące niespotykane nigdzie indziej rzeźby i układy. Ściany pokryte były bursztynową mozaiką. Wielkie lustra otaczały filigranowo uplecione bursztyny i kwiatowe figury. Mi najbardziej podobał się odcień czerwony. Jak miłość.

Po wyjściu na zewnątrz doświadczyłam upiornego wręcz zimna. Wiatr i chłód wbijały się w ciało, jak igiełki lodu. Rozwiewał włosy (czapka została w autokarze), siekał twarz i nagie dłonie. To był czas wol-

ny, na szczęście ze względu na warunki atmosferyczne skrócony do minimum. Zadaszone kramy z pamiątkami nieco chroniły przed chłodem. Na końcu głównej alei stała mała budka gastronomiczna. Wszyscy, jak jeden mąż, coś w niej kupili. Gorącą kukurydzę lub frytki. Kawę lub herbatę. Byle czymś się rozgrzać. I wtedy nadjechał autokar, nasze niestacjonarne schronienie.

Panowie zrobili sobie herbatę z prądem. Częstowali nią. Smakowała wyśmienicie i naprawdę rozgrzewała.

W drodze powrotnej do hotelu grupa zdecydowała się na wizytę w supermarkecie i pamiątkowe zakupy. Niektórzy wydali sporo rubli (do 8000 RUB), ja umiarkowanie (niespełna 2000 RUB). Po drodze pożegnaliśmy się z naszą petersburską przewodniczką Daniją. Nasza stała Olga opowiadała, co warto kupić w sklepie. Jakie czekolady, jaką wódkę (koniecznie Bieługę) i inne napitki. Pokazywała gdzie jest kawior (czerwony i czarny, czarny jest droży) i suszone ryby – ichniejszy przysmak.

W sklepie spędziliśmy godzinę. Szukając, przebierając, a potem stojąc w kolejkach przy kasach. Kupiłam trzy czekolady, dwa piwa (Baltika, Newskoje), puszcзки z kawiozem (dwie z czerwonym, jedną z czarnym). Suszone rybki do piwa (dwa duże opakowania) oraz rosyjską herbatę, w pięknie ozdobionych kwiatami torebkach.

Po zakupach zadowoleni uczestnicy wsiedli do czekającego na parkingu autokaru i ruszyli do hotelu. Od tej pory każdy mógł robić co chciał. Iść na kolację w hotelu lub poza. Pakować się. Zwiedzać miasto. Nawiązywać kontakty towarzyskie w wąskim lub szerszym gronie.

Nie wiem jak inni, ale ja zdecydowałam się na krótką drzemkę. Musiałam się rozgrzać i odpocząć, po kolacji bowiem planowałam samodzielny wypad na miasto. Jedyna szansa, bo nazajutrz mieliśmy opuścić hotel i Rosję w ogóle.

Kolację spędziłam rozmawiając z ciekawą staruszką, weteranką wycieczek organizowanych przez biura podróży. Słuchałam jej opowieści, powoli jedząc ostatni posiłek dnia. Żadna z nas nie spieszyła się, ani ona do pokoju, ani ja na miasto. Miałam czas, wieczór dopiero się zaczynał. Wyczekiwałam nocy...

Z hotelu wyszłam, gdy zmierzchało. Było po dwudziestej. Nie bałam się, choć nie czułam takiego komfortu i bezpieczeństwa jak w Moskwie. Tutaj ulice były długie, słabo oświetlone, rzadziej zaludnione. Mniej przyjazne niż w Moskwie. Może to kwestia arktycznego chłodu, który nadciągnął. Zapowiadano opady śniegu. Po długim i monotonnym marszu trafiłam wreszcie do jakiegokolwiek stacji metra, a właściwie pierścienia z trzech linii metra (niebieskiej, fioletowej oraz pomarańczowej) i odpowiadającym im trzem stacjom (Spasskaja, Sadowaja oraz Siennaja). Pomogła mi w tym para z Gruzji, która przyjechała studiować do Petersburga.

W petersburskim metrze nie ma papierowych biletów, jak w Moskwie. Kupuje się żeton (45 RUB), który wrzucony do dziurki otwiera przeszkłone drzwiczki. Od tej pory można jeździć tak długo, jak się chce z niezliczoną ilością przesiadek, bez wychodzenia na powierzchnię miasta. W metrze długość ruchomych schodów jest ogromna, a barierki ozdobione lampami. Jak mówiła Danija, niektóre stacje metra znajdują się na głębokości prawie 100 metrów pod ziemią. Liczba robi wrażenie.

W Petersburgu jest pięć linii metra i prawie 70 stacji. Budowa nadal postępuje, choć nie w tak zastraszającym tempie, jak w Moskwie.

KonieczniamusiałambzobaczyćstacjęPuszkinską. Była biała i marmurowa. Na jej końcu stał pomnik Puszkina, niedostępny dla dotyku turystów, jak w muzeum. Poeta siedział poważnie na postumencie, może obserwował przypatrujących mu się. Może tworzył kolejny wiersz, gdzieś tam w zaświatach. Siedział na tle pejzażu z drzewem i wodą. Przed nim stał wazon świeżych kwiatów, które zapewne w hołdzie składali mu zakochani. Świat pełen jest zakochanych, tych szczęśliwych i nieszczęśliwych. Stojąc, z bliska obserwowałam parę młodych, nastolatków jeszcze, którzy byli tak słodko nieśmiali w swoich zalotach. Dziewczyna uciekała, kryjąc się ze swoim uczuciem, on nieśmiało ją gonił. I zawracał, przysiadając u stóp Puszkina, z zamyśleniem obserwując dziewczynę... Miły obrazek.

W metrze panował ścisk i tłok. Przesiadałam się kilka razy. MusiałambzobaczyćstacjęDostojewską. Nie była jakaś specjalna, nie było na niej pomnika pisarza. Poczulałam się trochę rozczerowana. Najstarszą linią metra (czerwoną) przejechałam pod rzeką Newą. Poczulałam się naprawdę głęboko, tak też było istotnie. Schody ruchome wiodące na stację ciągnęły się w nieskończoność.

Wracając z powrotem przesiadłam się w zieloną linię, na stacji Majakowskaja. Tu dopiero byłam zdziwiona. I nie chodzi o czerwone chropowate ściany, tylko o sam wygląd peronu. Był on zupełnie inny niż pozostałe stacje. Otóż peron miał ściany, a w nich znajdowały się otwory drzwiowe, szerokie wrota, w które miał się wpasować pociąg ze swoimi drzwiami podczas kilkuminutowego postoju. Peron wyglądał jak ogromny pokój, nie wiem czemu, ale od razu swoją dziwnością nasunęło mi się skojarzenie z filmem „*Miasteczko Twin Peaks*”.

Wbrew pozorom była to bardzo nowoczesna stacja, taka jakich wiele w Japonii, gdzie pociągi, metro także, zatrzymują się w zaplanowanych co do centymetra miejscach. Podobnie ustawiają się ludzie, tworząc kolejkę przy wejściu do wyznaczonych drzwiami miejsc. Przeżyłam mały szok, że tutaj w Rosji napotkam coś takiego. Kolejna stacja (Gostinnyj Dwor) była podobna, więc wysiadając nie doznałam podobnego zaskoczenia, w znaczeniu pozytywnym oczywiście.

Metro opuściłam przy Newskim Prospekcie, najznamienitszej ulicy Petersburga. Podeszłam w kierunku Soboru Kazańskiego, wzorowanego na bazylice Św. Piotra w Rzymie. Młodzi ludzie pchali wózek dziecięcy, wielkości karety, białe w granatowe kropki, śmiejąc się przy tym do rozpuku. Zabawny to był obrazek. Sobota wieczór. Petersburg budził się do życia, do zabawy.

Długi odcinek Newskiego Prospektu był wyłączony z ruchu. Pełen był spacerujących, skaczących z radości, jeżdżących na rowerach ludzi. I ja dołączyłam do tego grona osób, robiących sobie zdjęcia. To niezwykle móc spacerować po głównej arterii miasta, która na co dzień jest ruchliwa i pełna stojących w korku samochodów.

Na szerokim chodniku ciągnącym się wzdłuż ulicy miały miejsce koncerty, tworzyły się zgromadzenia słuchaczy. Dalej ulica stała się normalną ulicą, nie traktem dla pieszych. Jeździły po niej samochody, a ja niecierpliwie wypatrywałam jakiegoś rosyjskiego pubu, aby napić się piwa. Po jednej stronie ulicy nic nie było, aż doszłam do kanału Fontanki. Z mostku dostrzegłam neon „*Russian pub*”. Ucieszyłam się, widziałam go za dnia, jadąc autobusem. To był mój cel, tego szukałam.

Weszłam zdecydowanie, zdejmując w progu moją rosyjską ciepłą czapę. W taki ziąb sprawdziła się doskonale, podobnie szalik i rękawiczki wzięte w Polski. Ktoś z obsługi podszedł do mnie i zaprowadził do wolnego stolika. Niestety nie przy oknie, jak chciałam, bo wszystkie wnęki okienne były zajęte, ale w dobrym miejscu, że doskonale widziałam ulicę i scenę, na której trwał koncert na żywo. Grała rosyjska kapela, bardzo ładnie zresztą.

Sam pub okazał się fajnym, klimatycznym miejscem, z przemiłą obsługą. Zamówiłam, po rosyjsku oczywiście, pszeniczne piwo z Syberii (Siberia White, 201 RUB). Było pyszne. Najlepiej smakuje zawsze pierwszy łyk, jak pierwszy pocałunek, jeśli towar jest pierwszej jakości.

Nagle na pustym parkiecie pojawiły dwie dziewczyny i zaczęły tańczyć. Coraz bliżej siebie i śmieiej, aż w końcu zaczęły się całować. Lesbijki? Obserwowałam tańczące, i ludzi wokół. Po chwili parkiet zagęścił się od innych tańczących dziewczyn, już na odległość. A faceci siedzieli przy stolikach, nie ruszając się z miejsc. Dziwna jest ta Rosja i bardzo odważna.

Niestety wkrótce zespół przestał grać i zwinął się ze sceny. Od teraz leciała już muzyka ogólnoswiatowa, po angielsku. Jakaś dziewczyna skąpo odziana chodziła po sali i zachęcała do kupna mocnego trunku, nie pamiętam już czy Tequila, czy Whisky. Zdecydowanie odmówiłam, musiałam kilka razy, bo nalegała.

W pubie panowała przyjemna, spokojna i senna atmosfera. Fajnie było tak siedzieć wśród miejscowych, raczyć się ich piwem i czuć się bezpieczna. Zamówiłam jeszcze jedno piwo, czerwone żytnie, z Azerbejdżanu (typu ale).

Smakowało inaczej, nigdy wcześniej nie piłam takiego piwa. Lubię nowe smaki potraw i napojów, przeróżnych wrażeń. Klientela zmieniała się, jedni odchodzili, na ich miejsce pojawiali się nowi.

Siedząca na lewo ode mnie dziewczyna chyba zasnęła. Oparła głowę o ścianę i tak odchylona siedziała z zamkniętymi oczami. Przed nią stał półpełny kielich z piwem, chyba już nie pierwszy. Czasem budziła się, spoglądała na telefon, może czekała na czyjaś wiadomość. Rozmytym wzrokiem zahaczała całą salę, w tym mnie siedzącą najbliżej i znowu zapadała w drzemkę.

Minęła północ, powoli zaczęłam przemyślać o powrocie do hotelu. Nie jak Kopciuszek... Spokojnie dopiłam piwo, zapłaciłam i wyszłam na mroźną ulicę. Czyżby faktycznie zaczął padać śnieg? Szłam zadowolona, w mojej ciepłej czapie, po dobrze spędzonym wieczorze. Na Newskim Prospekcie pełno było młodych ludzi. Jak w Europie Zachodniej, tylko dla odmiany słychać było język rosyjski.

Ulicą jechał duży czarny samochód. Pasażer z przodu trzymał w ręku spory kieliszek, zapewne z wódką, z którego miarowo popijał, a po chwili uzupełniał jego zawartość. Był roześmiany od ucha do ucha. Coś mówił do kierowcy. Tylko w Rosji to może się zdarzyć.

Minęłam maszerujące chodnikiem dwie dziewczyny. Prowadziły... konie. Szok! Czyżbym nagle znalazła się w innym świecie? W jakiejś rosyjskiej bajce? Obejrzałam się kilka razy, prawie dostając wytrzeszczu. Nie zdziwił mnie już szyld z biblioteką (albo księgarnią) całodobową. Może tutaj w wielkim mieście na północy Europy takie miejsca są niezbędne. Są noce polarne, ludzie nie mogą spać, szwendają się po mieście i czytają... Inni tworzą, jak kiedyś Dostojewski. Cudownie było chodzić nocą po mieście, w którym żył i tworzył wielki Fiodor.

W powietrzu unosiło się coś mroźnego i wilgotnego, jeszcze niedostrzegalnego. Nie miałam czasu zastanawiać się nad tym dłużej. Musiałam zdążyć do metra, z tego co usłyszałam, ostatni pociąg był o wpół do pierwszej w nocy. Czasu miałam niewiele. Najbliższe zejście do metra było już nieczynne, kraty spuszczone w dół. Była godzina 00:20.

Pędem ruszyłam do głównego wejścia na stację Newski Prospekt i kupiłam żeton. Z głośników słyszałam zapowiedzi, że za kilka minut odjedzie ostatni pociąg (poslednij pojezd). Zapowiedzi były tylko po ro-

syjsku i turysta nie znający tego języka, nie pojąłby wagi sytuacji. Ostatni pociąg, daleko od hotelu, w obcym mieście. Groza sytuacji uczyniła mnie czujną.

Zbiegałam po długich ruchomych schodach i zdążyłam wejść do nadjeżdżającego właśnie pociągu. Był prawie pusty. Podjechałam dwie stacje i musiałam się przesiąść z linii niebieskiej na czerwoną. Tam również właśnie nadjeżdżał ostatni pociąg. Miałam szczęście. Wysiałam na pustym peronie stacji Baltijskaja, niebieski pociąg odjechał. Nie było mi dane zobaczyć najpiękniejszej (według słów Olgi) stacji metra na linii czerwonej – Awtowo. Była dwie stacje dalej, ale nie miałabym już czym stamtąd wrócić.

Długie ruchome schody z czerwoną barierką i lampami w takim samym kolorze (stacje na czerwonej linii metra są bardzo stylowe) wwiozły mnie na poziom miasta i zaczęłam szukać drogi do hotelu. Faktycznie, padał chyba drobny śnieg. Widoczność słabła. Było coraz zimniej.

Pamiętałam tylko nazwę hotelu (Azymut), nie znając adresu. Na mojej ograniczonej zasięgiem mapce hotelu nie było, stacji metra również. Nie wiedziałam gdzie jestem, w którym kierunku mam iść. Krążyłam niespokojnie po niebezpiecznie wyludnionej okolicy Dworca Bałtyckiego, to nie była Moskwa. Bałam się, wciąż wracałam w to samo miejsce.

W końcu zapytałam przypadkową dziewczynę wychodzącą ze sklepu całodobowego o hotel Azymut. Po chwili namysłu powiedziała: přímo, na lievo (prosto i na lewo). Podziękowałam i nadal niepewna ruszyłam zgodnie z jej wskazówkami. Minęłam rzekę Fontankę, ładnie oświetloną nocą i szłam jakąś długą ulicą. Szłam szybko, było mało pieszych, strach narastał. Nigdzie nie widziałam hotelu Azymut. Miałam ochotę zatrzymać jedną z mijających mnie taksówek. Zaczęłam naprawdę panikować. Dochodziła pierwsza w nocy, byłam sama w obcym mieście i nieznanym mi okolicy. Wreszcie zobaczyłam wysoki budynek kształtem przypominający nasz hotel. Przyspieszyłam kroku. To był hotel Azymut. Poczułam wielką ulgę i szczęście. Nikt kto nigdy nie był w takiej sytuacji, nie zrozumie jak wielka była moja radość. O pierwszej w nocy przekroczyłam bezpieczny próg hotelu, zostawiając za sobą nocny Petersburg. Usiadłam na wolnej sofie i po prostu siedziałam, ciesząc się, że tu dotarłam i, że byłam cała i zdrowa. Nic więcej nie było mi potrzeba.

Gdy emocje już opadły poszłam do pokoju. Wykąpałam się i zaczęłam pakować prezenty. Jutro, w sumie dziś przed południem, mieliśmy opuścić hotel, Petersburg i Rosję.

Sen zmorzył mnie o drugiej...

22 kwietnia 2018, niedziela

O 6:30 zbudziło mnie bicie dzwonu, głośne i bardzo bliskie. Byłam przerażona i nie od razu mogłam znowu zasnąć. W ten sposób hotel oznajmiał gościom, że zaczęła się pora śniadaniowa, mimo, że trwała do godziny 11:00.

Próbowałam spać dalej, co nie było łatwe, bo w ślad za dzwonieniem ruch na korytarzu ożywił się. Słyszałam język rosyjski, chiński, angielski i polski. Pewnie ludzie z naszej wycieczki też się obudzili. Rozpoznałam znajome głosy.

Nie mogłam dłużej spać, wstałam przed dziewiątą i zaczęłam ostateczne pakowanie plecaka. Na śniadanie zeszłam przed dziesiątą, zamieniając kilka słów z osobami z wycieczki stojącymi na korytarzu. „Kawy, kawy!” – krzyczało ciało.

Powoli jadłam śniadanie, nie było nikogo z naszej grupy. Byłam ostatnia, co nie dziwi, po takich przygodach w nocy...

O 11:30 opuściliśmy hotel i pojechaliśmy na lotnisko Pulkovo w Petersburgu (przejazd trwał pół godziny). Pierwsza była kontrola bagażowa ogólna. Następnie odprawa bagażowa. Staliśmy całą grupą w długiej kolejce rozmawiając i żartując, co poniektórzy narzekając. Później była kontrola paszportowa i zdanie karty meldunkowej, na samym końcu zaś kontrola bagażu podręcznego oraz nas samych.

Pozostało mało czasu i brak jakiegokolwiek ochoty na krążenie po strefie wolnocłowej. Ceny w sklepach były w walucie EUR, tylko w niektórych punktach gastronomicznych i automatach z napojami w rublach. Dziwne. Czas oczekiwania na wejście do samolotu uprzyjemniała rozmowa z współuczestnikami wycieczki, niektórymi równie zmęczonymi i pragnącymi snu, jak ja oraz obserwacja płyty lotniska, startujących i lądujących samolotów. To zawsze jest ciekawe.

Gdy tylko usiadłam w samolocie, przy oknie, od razu zasnęłam. Po niespełna dwóch godzinach wylądowaliśmy na lotnisku w Warszawie. Różnica temperatur była ogromna (tu 19 stopni).

Jeszcze tylko kontrola paszportowa i odbiór bagażu. Wszyscy spieszyli się na pociągi, autobusy, samochody na parkingach. Na wycieczce byli ludzie z całej Polski i niektórych czekała jeszcze długa droga do domu. Pożegnałam się sympatyczną grupą podróżników, może niektórych kiedyś jeszcze zobaczę na turystycznych szlakach. Kto wie? Świat jest mały, a przypadki chodzą po ludziach.

Wrażenia z wyprawy do Rosji wciąż są świeże i gorące, wciąż żyją. Moskwa to moje miasto, moje własne, czułam się tam jak u siebie. Petersburg pozostał niepoznany i obcy. Zabrakło czasu by się w niego wczuć, by poczuć jego atmosferę.

Wsiadając do taksówki ostatni raz spojrzałam na lotnisko, z rzewnością.

Do zobaczenia Rosjo, może kiedyś jeszcze się spotkamy...

Kwiecień 2018

stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Niczyja, dodano 15.05.2018 10:43

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.